Nowości Literackie

6

M. Wierzbiński

W przeklętym Domu

Warszawa St. Sadowski

W PRZEKLĘTYM DOMU.

„NOWOŚCI LITERACKIE"

Tom I. *K. Tetmajer* Z WIELKIEGO DOMU. Cena kop. 65, w oprawie 85.

Tom II. *Jan Lorentowicz* MŁODA POLSKA I. Cena kop. 65, w oprawie 85.

Tom III. *Mieczysław Srokowski* ICH TAJEMNICA. Cena kop. 60, w oprawie 80.

Tom IV. *T. Jaroszyński* W NAWIASACH ŻYCIA. Cena kop. 60, w oprawie 80.

Tom V. *Jan Bełcikowski* LEON TOŁSTOJ. Cena kop. 80, w oprawie rb. 1.—

W tomie siódmym wyjdzie część II *Macieja Wierzbińskiego* W PRZEKLĘTYM DOMU.



NOWOŚCI LITERACKIE TOM VI

Maciej Wierzbiński

W przeklętym Domu

Nadejdzie czas w którym ludzie o więzieniu tak myśleć i mówić będą, jak my o torturach.

Na wolność.—List Kazika.— Stary Urban.— Trzy spotkania.—Akord cierpienia.

Z portretem autora.

WARSZAWA 1908
Księgarnia ST. SADOWSKIEGO

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Stankiewicz.**
Kierownik Literacki **Gustaw Olechowski.**
Odpowiedzialny za redakcyę we Lwowie **K. Pepłowski**
ul. Dąbrowskiego 6a.

Druk L. Bogusławskiego, Świętokrzyska 11.

I.

Na wolność.

— Usielak...—począł flegmatycznie ociężały, siwy nadzorca z długim feldfeblowskim pałaszem przy ciemno-granatowym uniformie, wprowadziwszy z wielkim brzękiem kluczów trzy więzienne figury w grubem niebieskawem płótnie do obszernej, ponurej szatni o trzech okratowanych, zielonkawych oknach, które wychodziły na dziedziniec, wybrukowany potężnemi, trawą poprzerastanemi bulwami i pogrążony w wieczystym cieniu zbrukanych murów więziennych, okuwających go nieubłaganym pierścieniem.

Wydobywszy to z trudem z przepitej

gardzieli, pan nadzorca powiódł uśmiechniętem okiem po smagłem obliczu jednego z trzech więźniów, którzy stali obok siebie w pobliżu drzwi, wyprostowani, i po uroczystej pauzie, zagadnął:

— Na, wann kommen Sie wieder? (No, kiedy powrócisz?)

Na to Usielak wykrzywił nieco swą podstarzałą, źle wygoloną twarz aktora z prowincyonalnej trupy i odparł chłodno poprawną niemczyzną:

— Już nigdy więcej... do tego więzienia.

— Czemu nie tutaj?

— Podłe jadło!...—rzucił stary więzienny recydywista z głęboką pogardą i zdejmującem go poczuciem wyższości.

Za kilka godzin miał wydostać się na wolność...

— Podłe, a jadałeś je tak, że ci się uszy trzęsły!... Nie odrzekaj się tak! Wrócisz jeszcze na wikt! Ile razy już tu byłeś?

— Tu, w Poznaniu?—spytał więzień, niby nie rozumiejąc, i niechętnie bąknął: Jedenaście razy...

Skromnym tonem dawał wyraźnie do zrozumienia, że to bardzo niewiele razy.

— A ile razy wogóle siedziałeś?

— Wogóle? No, wogóle... dwadzieścia

trzy razy...—wycedził potulnie Usielak i, widząc uśmiech na czerwonych policzkach nadzorcy, dorzucił chełpliwie: ale nigdy dłużej nad piętnaście miesięcy i przed ostatniem wsadzeniem całe dwa lata byłem na wolności!

Naddozorca potrząsł głową tajemniczo i począł szukać na półkach, któremi trzy ściany izby były okolone od dołu do góry, węzełków z odzieniem szczęśliwych kandydatów do wolności.

Na chwilę wysunął się do przyległej izby, pozostawiając ich samych.

Skorzystał z tego zaraz stojący obok Usielaka więzień i począł żywo bełkotać pod nosem zaślinionemi ustami.

Nieszczęśliwa, pokraczna jego figura o rudawym zaroście, rozczochranych, lnianych kudłach, z wyłupiastemi szklistemi oczyma, toczącemi błędnie dookoła idyotycznie, tem smutniejsze robiła wrażenie między dwoma rosłymi i silnymi chłopami. Było to takie przerażająco głupie, tak ogromnie bezsilne, bezradne, jakby zbite na kwaśne jabłko i pokopane przez los i życie, że można było zachodzić w głowę, jakiem ludzkiem prawem pociągnięto do odpowiedzialności i ukarano

to popychadło, którego nie było podobne posądzić o wolną wolę i świadomość czynu.

Przestępując nerwowo z nogi na nogę, stało to skulone, jakby zmarznięte, i spoglądało ze słodkawo-głupkowatym uśmiechem po twarzach towarzyszów, wzywając ich przez to do pogawędki i szukając na twarzach odblysków elektryzującej go, rozpierającej radości.

Już dawno nie mówił. Zwykle w celi nie czuł tego potrzeby. Odwykł od ludzi i gadania. Teraz wszakże, wobec tak blizkiej godziny wyzwolenia, był podnieconym; radosne iskierki migotały w drgawkach po przezroczystych jego licach.

Po za temi murami nikt nie oczekiwał bezdomnego włóczęgi, nikt nie wyciągał ręki do zidyociałego w więzieniu do reszty złodzieja, nic nie uśmiechało się doń z głębin tajemniczych cuchnącego zaułka jego przyszłości, a przecież dreszcze radosne biegały mu po kościach i układały lica do uśmiechu. Nawet nikczemny kretyn bez jutra odczuwał instynktownie, żywiołowo, błogosławioną jasność wolności i garnął się ku niej, jakby do przeczuwanego za górą słońca, które niebawem ma zaświecić nad jego głową. Nie byłby umiał powiedzieć, czemu

i na co się cieszy, ani co to jest owa wolność, co z nią pocznie, lecz tęsknił do niej w ciągu bezkresnych tygodni kaźni, liczył dni i godziny, dzielące go od wielkiej chwili wyzwolenia i teraz, upojony gorącem oczekiwaniem, mełł językiem wesoło, opowiadał swe dzieje, nie wiele troszcząc się o to, czy go słuchano.

— Posądzili mnie o kradzież piętnastu marek... Baba krzywoprzysięgła. Było to w Bydgoszczy. Z Bydgoszczy pochodzę... Robert Schultze... Wszedłem do tej kuchni... Roboty nie było... Pod oknem miało leżeć piętnaście marek. Krzywoprzysięgła szelma... Byliście już we Wronkach? — pytał, zerkając z ukosa na młodego robotnika z lewej strony, tak jak to zwykł był robić, gdy pod okiem dozorcy próbował niepostrzeżenie pogadać na przechadzce więźniów, i ciągnął: O! Tam duże więzienie! Jakie duże! Na siedmset chłopa... Dawali mi tam codzień pół litra mleka... Nie byliście tam jeszcze?

Opowiadał tak jak podróżnik o przepięknym pałacu, godnym zwiedzenia,—gdy ukazał się naddozorca.

— Już rozpuściłeś język, jak przekupka,

Schultze — rzucił, i na dowód łaski dodał z uśmiechem: Ty skończony łajdaku...

„Łajdak” odpowiedział uśmiechem, jakby go kto połaskotał po skórze, i począł szybciej udeptywać podłogę.

Poczciwy naddozorca raczył przelać na niego promień swego dobrego humoru i przemówić doń żartobliwie, łaskawie. On zaś przywykł do tego, że zwracano się do niego z pomrukiem odrazy, spozierano na niego, niby na obrzydliwego kundla, więc epitet „łajdak” wydał mu się istotnie ozdobnym.

— No, Schultze, masz swe łachy!

Naddozorca cisnął więźniom węzełki, a oni zaraz zabrali się do rozwijania swych dawno niewidzianych, zmiętych odzień, poczem podpisami skwitowali odbiór swych własności.

— Ratajczak, ty bodaj pierwszy raz byłeś w więzieniu? — ozwał się otyły dygnitarz do młodego robotnika, wręczając mu jego srebrny zegarek.

— A pierwszy!—odparł tenże hardo.

— Ale nie ostatni?...

— I ostatni...—wyrzekł po chwili wahania Ratajczak, myśląc sobie: „Już drugi raz nie złapiecie mnie, opryszki!”

— Za co cię wsadzili?

— Za włamanie,

— Jednorazowe?

— Tylko jednorazowe. Zresztą nic...

Gdy naddozorca, zadzwoniwszy hałaśliwie kluczami, otworzył szatnię i wypuścił więźniów na korytarz, Ratajczak wyprostował się jak struna i następnie maszerował z fantazyą. Grała w krwi jego fanfara: „Jeszcze dwie i pół godziny!!...”

Ale w tych ostatnich chwilach pobytu w więzieniu dozorca jego „stacyi” miał mu jeszcze jako „kalefaktorowi” dać uczuć swą władzę.

Zaledwie został wpuszczony na korytarz swej „stacyi” w jednym z dwu trzypiętrowych gmachów więziennych, rozdzielonych dziedzińcem i od narożnika ulic odciętym przez wysoki mur, dozorca Schumlinsky, b. podoficer z krótkim pałaszykiem przy boku, przywitał go wrzaskliwie:

— Verflucht noch mal, Ratajczak!... Co to za polska, czy świńska gospodarka! Tak to chcesz wszystko zostawić!!... Myślisz, że już jesteś na wolności, zbereźniku! Jeszcze nie! Żebym ci w końcu nie zbrzydził, psia krew!...

To mówiąc, rozczerwieniony, wskazał

w stronę jednego z otworów do pieca, a Ratajczak, pełniący w ostatnich tygodniach z niechęcią funkcye posługacza rewirowego, począł powoli, ze spokojem schwaconego konia, na którego obitą skórę bicz nie działa, zamiatać przed blaszanemi drzwiczkami pieca wskazany popiół, istniejący więcej w wyobraźni nałogowego piwosza, aniżeli na błyszczącej podłodze korytarza.

Jak tunel ze sklepionym pułapem, przecinał szeroki korytarz całe piętro. Poranne światło dżdżystego dnia wiosennego padało przez okratowane okno z obu końców korytarza na wzorzystą, ceratową taśmę, wyściełającą w pośrodku kamienną, czarno wywoskowaną podłogę korytarza. Biało otynkowane ściany, u dołu podmalowane zielono, były w pewnych odstępach poprzecinane wązkiemi, okutemi blachą drzwiami cel, na których widniał numer odnośnej klasy, okrągła, przysłonięta klapką szybka, „okiem judaszowem" zwana, tudzież napis: „23, 83 kub. met."

Niebawem w tej arteryi, w której zwykle panował tylko dokuczliwy brzęk kluczów i odgłos kroków dozorcy, zakipiało życie; drzwi cel otwierały się jedne po drugich, dwóch posługaczów odbierało w progu bla-

szane miski, a kuchta-więzień, królujący na korytarzu w białej czapeczce, z długą mosiężną kopyścią, niby Grabiec z berłem, wlewał w nie zamaszyście dymiącą kawę z kotła, podczas, gdy dozorca z pomocą więźnia, chodząc od celi do celi, rozdawał kawały czarnego chleba. Śniadanie! Podobnie jak w menażeryi wydzielano u drzwi strawę, nie wypuszczając z klatek niebezpiecznych stworzeń.

Po kilku minutach kuchta i kocioł znikli, zgiełk się oddalił i na korytarz wstąpiła cisza głęboka, jakby westchnień żałosnych pełna.

Ratajczak w celi ubierał się w swe „cywilne" rzeczy, świstając pod nosem brukową piosenkę, która po piętnastu miesiącach przypomniała mu się nagle. I myśląc sobie z radosnem drżeniem w piersi:

— Jeszcze dwie godziny!...

Wybiegał duchem do kresu kaźni swej, jak do upragnionej mety, nie malując sobie wszakże obrazów przyszłości, nie zastanawiając się wcale, co pocznie na wolności. Dość było mu żywić w piersi przeświadczenie, że za dwie godziny „będzie dobrze". Co kwadrans, co minutę, gubił coś z nieznośnego ciężaru, jaki przygniatał go tak

długo, i coraz lżejszy, swobodniejszy szedł ku przyszłości. Odradzając się, poczynał znowu żyć, być sobą. Wszelkie wykrzykniki dozorcy, które zwykle zapalały młodą jego krew, znosił z pogardliwą obojętnością, myśląc sobie:

— Szczekaj sobie, ty psie, ile chcesz, i tak już mnie nie ujrzysz!

Jedynie gdy dozorca, biernością jego podniecony, huknął mu nad uchem zwykłe: Verfluchter Polak!—zakipiał w nim gniew. Miał „wolną a nieprzymuszoną" chęć wryć swój kułak w podoficerskie zęby „na pamiątkę", ale pohamował się, wiedząc, ile kosztowałaby go taka przyjemność. Stanął jednakże tuż przed nim oko w oko i wpił się w niego spojrzeniem tak wymownem i tak obiecującem, że dozorca cofnął się i umilkł, jak zmyty.

Kilka minut przed dziewiątą rozwarły się przed nim drzwi celi po raz ostatni i oblicze dozorcy raz jeszcze ukazało się kwaśne, odpychające.

— Ratajczak, do biura!

Tym razem „do biura" znaczyło tyle co na wolność, w świat szeroki.

Pisarz w kancelaryi wręczył mu zarobio-

ne pieniądze i papier, stwierdzający, że istotnie odsiedział, co miał do przecierpienia, pożegnał go zaleceniem, aby kazał sobie ten dokument oprawić w ramki i Ratajczak wyszedł z biura powoli, jakby udając, że mu wcale nie spieszno.

Szedł bez dozorcy! Przez chwilę obejmowało go miłe uczucie zdziwienia nad tem, że kroczy sobie przez dziedziniec, nie słysząc po za sobą nieodstępnych kroków dozorcy i pobrzęku kluczów, że kroczy, jak wielki pan, dygnitarz.

Jeszcze chwila, a potem stał przed furtą więzienną w olśnieniu. Jakże tu było jasno! Jaka szeroka leżała przed nim ulica! Te drzewa, domy, ludzie! Jakże to było piękne, świetne!

Odwykł od patrzenia na świat. Wzrok jego ślizgał się po szczegółach obrazu, jak po marach sennych, znikomych, nie mogąc wyssać z niego treści, ująć tego w syntezę. I odwykł od chodzenia ulicą, więc szedł ciężkim, trochę niepewnym krokiem, jak po ślizgawicy, zwłaszcza, że wszystko na tym świecie narzuciło mu się z przygniatającą, oszołomiającą siłą.

Ot! Drzewo! Akacya. Przystanął, jakby po raz pierwszy w życiu ujrzał drzewo,

i podziwiał bukietową jego koronę, upstrzoną kiełkującemi zawiązkami listków, niby niesłychany fenomen przyrody.

A tam kamienica! Wzniesiono ją przez czas jego kaźni, więc witał ją oczyma jak żywą istotę, przybyłą na swe powitanie. Cztery piętra! Bagatela!... Kto ją też murował? Może jego znajomi, towarzysze?... Domisko nie pierwsze lepsze!

Wtem na wyludnionej ulicy „mlyńskiej", zniżającej się ku zielonemu skwerowi, zaturkotał wóz i były więzień drgnął, bo turkot wydał mu się hukiem pociągu po moście, uderzał w bębenki uszne młotem. Lecz pogonił wzrokiem za parą siwków, frunął potem za wróblą czeredą, czepiającą się drutów telegraficznych, hulał tu i owdzie, wszędzie i nigdzie, w orgii barw i oślepiającej go jasności.

Niebo było zachmurzone, w powietrzu wisiał deszcz, ale w jego oczach było jasno, w jego piersi była już wiosna w pełnym rozkwicie. Na białej, wydelikaconej twarzy z czarnemi, trochę podsiniałemi oczyma, wykwitł nieśmiały rumieniec od jędrnych powiewów. W miarę jak szedł dalej, ogarniało go pod wpływem powietrza niepoznane

upojenie, miły zawrót głowy, tak, iż posuwał się jakby we śnie somnambulicznym.

Nagle kilku chłopaków wrzasnęło w pobliżu i przecwałowało. Zatrzymali się przed bramą jednej z kamienic przy grupie hałaśliwych łobuzów, wyprawiających figle. Jeden z nich udawał głuchoniemego, inny krzyczał do niego w niebogłosy, na co tenże odpowiadał komicznemi grymasami twarzy i giestykulacyą, ku niepohamowanej uciesze czeredy, która niebawem rozsypała się po ulicy i zmieszała w doraźnej potyczce, zaimprowizowanej z zupełnie nieodgadnionej przyczyny.

Ratajczak śledził przebieg tej rozprawy z nadzwyczajnym interesem prostaka, uczestniczącego pierwszy raz przy wielkiem widowisku, aż szelest jedwabnej sukni odciągnął jego uwagę, a następnie wpadły mu w oczy rumiane lica jakiejś Marysi, idącej z targu z koszykiem. Nie mógł oderwać wzroku od barwnej, krągłej, żwawej postaci. Już bodaj cały wiek nie widział kobiety. Nie myślał, że to jednak czegoś takie ładne!...

Rozsiadł się na ławce wśród świeżej zieleni pustego o tej porze ogródka, ujętego w pierścień okazałych kamienic, i odetchnął całą piersią.

Pięknie było na świecie!... Zieleń uśmiechała się do niego. Dopiero teraz owiało go uświadomienie swej wolności. Mógł robić co zechce, zanurzyć się w strumień życia, od którego odcinały go dotąd mury więzienne. Nagle zrozumiał, że wolność — owo nieuchwytne dla niego pojęcie — to jakieś ogromnie cenne dobro, po które ludzkość nie bez racyi sięga, jak po szczęście. Było to słońce, bóstwo, które jednem swem tchnieniem uszczęśliwiło go, przepoiło radością....

W tym blasku szczęśliwości roztopiły się, jak śniegi, wspomnienia niedoli więziennej, albo raczej uleciała z nich piołunowa gorycz tak, iż o tem, co przebył przez owe piętnaście miesięcy, mógł myśleć jak o czemś przeżytem bardzo, bardzo dawno i daleko. Więzienie—ów stek czerwonawych budynków za wysokim murem, robiących wrażenie strasznego, odartego ze skóry potwora, pochłaniającego ludzi—zapadało się w otchłań niepamięci, bo świat inny, jasny brał go w ramiona i ciągnął w przyszłość, która w stosunku do wczoraj wydawała się gajem, umajonym kwiatami niezrealizowanych nadziei.

Długo spoczywał na ławie w błogim półśnie ducha, upojony i ukołysany w powietrzu

swobody, a podniecony, jakby winem, falą jasnych oczekiwań, płynących w jego żyłach z nieodgadnionych posad wszechświatowych.

Uczył się na nowo patrzeć, spozierając na przesuwające się zrzadka osoby, na szwadron konnych strzelców, wracających z ćwiczenia, na proletaryat ptasi, włóczący się po ulicy, na bzy, okrywające się zielenią i nie myślał o niczem.

Zegar jakiś wybił dziesiątą. Ratajczak ocknął się, podniósł i ruszył ulicą w stronę rynku, gdzie rozhowor targowy i handlowy, kipiący gorączkowo, towarzyszył mu wiernie.

— Dokąd iść? Co począć?

W zgiełku ludzkiego mrowiska zrodziło się w nim to pytanie.

W ciągu ostatnich miesięcy nie potrzebował troszczyć się, za co i gdzie jeść będzie, gdzie głowę złoży, z czego zapłaci komorne. Dni, niby paciorki, nawlekały się jeden za drugim. Kłopoty wszelkie pozostały u wrót tej wielkiej trumny dla żywych. Nauczono go tam kleić tutki, lecz nie nauczono myśleć o sobie, o przyszłości, napinać energii celowo, obchodzić się z groszem, nie wskazano mu drogi życia, nie usunięto z przed niego dawnych pokus, nie dano mu

nic w rękę, żadnej busoli, żadnej moralnej podpory...

Dokąd pójść? Wstąpił do szynku, idąc machinalnie za grupą handlarzy targowych, jakby za więźniami, podjadał sobie kiełbasy, wypił dwie szklanki piwa i wyszedłszy z cygarem w ustach i trochę zakopconą głową, przystanął na zbiegu starych, ożywionych uliczek, patrząc na strumień ludzki z pewnem zdziwieniem, że każdy spieszył się gdzieś i po coś. Tego w więzieniu nie było!

Co z sobą miał począć?... Nie pozostawało mu nic innego, jak zaciągnąć się na nowo do robotników mularskich. O robotę łatwo, ale mu się to wcale nie uśmiechało.

Ciężka praca, ręce mu wydelikatniały, muskuły osłabły. W więzieniu przyzwyczaił się do lekkiej pracy i ladajakiej, którą pełnią zwykle źle płatne dziewczęta. O klejeniu tutek nie mógł myśleć. Wyśmieliby się z niego ludzie. „Chłop jak dąb chciał robić tutki!! Chyba na to, aby się umizgać do dziewuch!” No i głodem przymierać! Albo może miał drzeć pierze ze staremi babami? Albo drzewo rąbać na jakiej posłudze?... Więc trzeba do mularzy. Ale jeszcze nie

jutro — pojutrze. Miał przecież w kieszeni blizko trzydzieści marek!

Z rękoma w kieszeniach szaraczkowej kurtki wlókł się bez celu, i sam nie wiedział, jak nogi zaniosły go przed sklepik jubilerski w czarnej uliczce, przed którym nieraz już dawniej wystawał. W oknie wystawowem powitał z zadowoleniem wiele przedmiotów, zaobserwowanych kiedyś i te same myśli, które plątały mu się naonczas po głowie, oplotły go teraz jak pędy oślizgłe zdradzieckich roślin podwodnych.

Dwa zegarki stare z turkusami! Jeden zupełnie podobny do tego, który... wtedy znaleziono u niego pod siennikiem! Psiakrew, wszystko to złożyło się tak głupio, przez to, że ów bestya Gawlik, mający zaraz nabyć od niego te przedmioty, gdzieś się zapodział i on dłużej musiał zatrzymać u siebie „to wszystko”, aniżeli należało. Żeby nie to?!... Oho! Żeby nie to, wszystko byłoby jaknajlepiej!...

Wtem głowa żyda wynurzyła się z otwartych drzwi sklepu. Krew chlusnęła do twarzy wypuszczonego rabusia, niezwłocznie odwrócił twarz od żyda i ruszył z miejsca tuż pod murem, powoli, mając jeszcze przed oczyma okno wystawowe, ujęte w stare,

słabe ramy, a pełne wartościowych błyskotek.

Szedł na rynek, gdzie spodziewał się przydybać w południe dawnych znąjomych: mularzy i koleżków. Zgrabna jego sylwetka, w miękkim, czarnym kapeluszu na głowie, widniała na tle ponurej ulicy, chwilami kryła się, znowu ukazywała, znikała stopniowo, aż utonęła w ciemnej oddali...

Poszedł w życie...

Gdziebądź skierował swe kroki, wrócił znowu w mury, z których wyszedł przed godziną...

— Raz w więzieniu—zawsze w więzieniu—twierdzą Niemcy.

Na pytanie dozorcy:

— Ostatni raz?

Odrzekł:—ostatni—tonem niepewnym, bo jakąś cząstką jasnowidzącą swej duszy odczuwał, że nawiązała się między nim a więzieniem jakaś nić mistyczna i miała ich łączyć po wsze dni jego życia; że zagnieździł się w nim bakcyl występku.

Więzienie jest zakładem demoralizowania upadłych; zabija myśl, wolę, energię, godność, ogłupia, rozpróżniacza, poniża, zatruwa. Najprostszym sposobem, aby człowieka zdemoralizować do reszty, jest zasadzić go

do więzienia. Jak prostytutka traci ostatnią iskierkę wstydu i poczucia godności, gdy pociągną ją do kontroli policyjnej, tak człowiek wykolejony, wstępując w mury więzienne, łamie ostatnią baryerę, dzielacą go od występku, a wychodzi na wolność z daleko większą predyspozycyą do postępku, jaki ściągnął na niego kaźń więzienną. Zanika w nim tam obawa przed karą, odporność na pokusę i uczucie wyższości nad skazańcami, a natomiast nabywa wstrętu do rzetelnej pracy, lekkomyślności w gospodarce groszem, nabywa poczucia łączności z występkiem, z wyrzutkami społeczeństwa, nabywa antagonizmu instynktownego do porządku rzeczy i jakiegoś sportsmeńskiego zapału do płatania policyi i sądowi figli bezkarnie.

Osądzili go, karali, a on w głębi duszy czuł się zupełnie niewinnym, srodze pokrzywdzonym, więc wychodzi w świat z zarzewiem buntu w piersi.

Złożywszy raz głowę w celi więziennej bez łez skruchy i odrodzenia na sercu, zaprzedaje duszę wiedźmom więziennym. Jakby wrzucony w wiry potężne, może na falach życia utrzymać się całą siłą ramion przez czas niejaki i płynąć na powierzchni, lecz z kręgów wirowych nie wydobędzie się

sam nigdy. Magiczna, fatalistyczna moc jakaś ciągnie go zawsze, jawnie czy skrycie w czarne odmęty...

Na więzieniu wisi zbiorowa klątwa tysiącznych, najróżnorodniejszych cierpień ludzkich—klątwa łez krwawych, co spłukały jego mury—klątwa strachów piekielnych i drgawek przedśmiertnych i strumieni krwi ludzkiej, co wsiąkła w tę ziemię i zrodziła furye, wszczepiające zarazę zatracenia...

Więc pewnego dnia otyły nadzorca witał Ratajczaka w szatni więziennej sceptycznym uśmiechem i mówił:

Ratajczak, jesteś tu znowu?!... No, widzisz!!...

II.

List Kazika.

Kochany Władku! Jeszcze cztery i pó miesiąca, od jutra rachując!...

No, przepchało się jakoś $7^1/_2$ miesiąca i ta reszta jakoś przejdzie...

Nie pisałem do ciebie ani razu, bo to nie taka prosta rzecz, jakbyś myślał. Nim pozyskasz pozwolenie i papier, wypytują do kogo, kto to i po co, czy koniecznie. I obstają przy tem, abyś pisał po niemiecku. List wędruje z rąk do rąk, czyta go kto chce, więc jakże tu pisać?!...

Korzystam z okazyi. Nasz „kalefaktor", czyli posługacz, wychodzi jutro na wolność,

przyrzekł przeszwarcować to pismo i tobie doręczyć. Porządny i dobry facet. (Miał sześć miesięcy za sprzeniewierzenie). On to dostarczył mi papieru i ołówka, którym gryzmolę. No, wygadam się za wszystkie czasy, chociaż tylko na papierze! Ale i to coś warte!

Pewnie ciekawy jesteś, jakim sposobem uskutecznia się to wszystko? Otóż kalefaktor cały dzień prawie wałęsa się po korytarzu, trzy razy dziennie przynosi wodę w dzbanku, woskuje, szczotkuje w korytarzu podłogę, która musi się świecić jak nos naszego nadinspektora, i pełni inne piękne i zajmujące funkcye. Dozorca zaś czuwa nad tem, aby posługaczowi nie zabrakło roboty.

Przy przenosinach kancelaryi do innego skrzydła głównego gmachu udało mu się machnąć kilka arkuszów papieru, a ołówek odziedziczył po jednym z więźniów. Wręczył mi to dziś, gdy, wracając z półgodzinnego spaceru z dziedzińca, otarłem się o niego na schodach. A poprzednio porozumiałem się z nim przez drzwi, gdy dozorcę odwołano. Jutro zaś, przy odbieraniu świeżej bielizny na łóżko, czyli t. zw. klapę, wręczę mu ten papier. Więc, jak widzisz, nie taka to wielka sztuka.

Szkoda, że kończy się na takich kunsztach. Gdyby tak udało się przemycać butelkę trunku od wody możniejszego, od której żaby lęgą mi się w brzuchu, albo Stasię na kilka godzin! Ale o tem ani tu pomyśleć. Im większe więzienie, tem większy nadzór. W małych więzieniach, choć pruskich, i to już bywało! Dawniejszy kalefaktor, wielki więzienny bywalec, opowiadał mi między innemi pyszną historyę, jak dozorca więzienny pewnej nocy przy koniaku przegrał w karty do więźnia własną żonę!...

I to w państwie wzorowego porządku!...

U nas to niestety nic wesołego się nie zdarza. Pies w budzie ma lepiej, bo przynajmniej wolno mu poszczekać i zawyć, a tu gębę trzeba trzymać zasznurowaną. Wszystko źle, a najgorzej, powiem ci, psiakrew, że kobiety ani na lekarstwo. Dyabli mogą człowieka wziąć przy takim poście. Nieraz głową mur rozbijać!

Wykarało mnie to przeklęte więzienie! I wszystko to tylko dlatego, że nie pozwolono sobie wybić z głowy podejrzenia, jakobym ja sam podpalił meble świeżo zabezpieczone od ognia, celem zdobycia głupich tysiąca marek! Prawie bez dowodu osądzili

mnie i wpakowali. Nie mówię jeszcze, gdyby chodziło o większe pieniądze.

Zresztą handel mój idzie nieźle. Moja żona, która odwiedza mnie raz na miesiąc na „Sprechstunde”, mówiła mi, że dochód dzienny stale wzrasta. Pięknie, ale tą drogą to i za sto lat człek nie dojdzie do jakiegokolwiek rzetelnego dobrobytu. Ten łajdak Meier (widziałeś jego piękny sklep bielizny obok mego handlu na narożniku?) urządził się mądrzej! Zbankrutował na 35 tysięcy marek! Trzeba żydom przyznać, że umieją bankrutować. I „sprawiedliwością”, niby chustką, nos sobie ucierają.

W żołądku mi coś burczy! Na chleb już patrzeć nie mogę i wszelka strawa tak mi się uprzykrzyła, że mi kością staje w gardle. Ale muszę ci opisać nasz tryb życia.

O wpół do szóstej dzwonek. Otwieram oczy i klnę, potem wstaję, zahaczam „klapę” na ścianie i zabieram się do mycia i czyszczenia celi. O kwadrans na siódmą rozpoczyna się t. zw. praca, czyli grzebanie nad pantoflami. Śliczne to okazy przemysłu więziennego. Żałuję tych idyotów, którzy je kupują w sklepach. Trzech groszy nie warte. Dla mnie tyle warte, że stanowią jakieś zajęcie i nastręczają sposobność do doryw-

czej pogawędki z „majstrem”, który kontroluje i odbiera pracę. Dzierzgam zatem, pukam, stukam, klekocę na maszynie i tym sposobem zarabiam 10 fenigów (wyraźnie dziesięć!) dziennie! Obecnie mam w robocie pantofle z blado zielonym wierzchem w brązowe pręgi. Śliczne!... Ponieważ zarząd więzienny przy tak łatwej produkcyi może sprzedawać towar i sprzedaje za psie pieniądze (nikt zresztą nie wziąłby tego tałałajstwa za inną cenę) robi szaloną konkurencyę porządnym fabrykantom, którzy jednak napróżno zanoszą na to skargi do ministra.

Około wpół do siódmej śniadanie. Kawał czarnego chleba na trzy palce gruby. Nadto wlewają ci w blaszaną miskę około pół litra płynu mętno-brunatnego, przypominającego pomyje, który ma jedną zaletę, a mianowicie, że jest ciepły. Zresztą przenosi cię w czasy, gdy się pijało kawę. W więzieniu uchodzi za rzeczywistą kawę. Dla zamarkowania tego charakteru niekiedy pływa w misie całe ziarnko. A więc niema sposobu wątpić. Daję słowo: kawa!

I znowu klekotanie. Czasem zajrzy dozorca i pogada trochę, jeśli w dobrym humorze, t. j. jeśli go kto nie zbeształ i żona

poprzedniego wieczora nie wyprała. Pojawi się majster z wzorzystemi wierzchami, kubełkiem śmierdzącego kleju lub tekturą do wycinania ...podkładek podeszew — a potem znowu klekotanie.

Obiad bajecznej prostoty. Składa się z miski grochu z kartoflami, albo, dla odmiany, kartofli z grochem. Albo marchwi, kalarepy czy innego specyału nierogacizny.

O to tylko chodzi, aby człek się zapchał. Jak wogóle u „szwabów". Dla nas i innych europejskich ludzi jedzenie to „Genuss". Niemiec zaś byle naładował kiszki i popłukał piwem, to kontent. Takie niemczysko pakuje w siebie byle co. Z naszych dozorców i dygnitarzy więziennych co jeden to grubszy. Rzekłbyś: cielne krowy albo okazy, co pouciekały z wystawy agronomicznej. Więzienie jest instytutem tuczenia podoficerów.

Po obiedzie wypoczynek do pierwszej, który zwykle spędzam na drzemce, przytulony do ściany i wygniatam kulawy stołek. Kolacya o wpół do siódmej: zwykle kasza i kawałek chleba. Raz na tydzień tylko, w niedziele, widujemy mięso. Można rzeczywiście powiedzieć: widujemy, bo co się tyczy jedzenia, to różnie bywa. Zwykle ma ono wygląd i smak rzemienia i widok jego pobu-

dza nie do apetytu, lecz do klątwy. Pies-by tego nie ugryzł.

Codziennie wypuszczają nas na pół godziny partyami na dziedziniec, otoczony wysokim murem. Jeden od drugiego chodzi w odstępie pięciu kroków. Na owych przechadzkach, jak czytam w „ordynacyi domowej” dosłownie,—„więźniowie winni poruszać się żwawym krokiem. Każde bieganie, tak w zakładzie jak na podwórzach, jest ściśle zakazanem. Na spacerach powinni więźniowie o ile im cielesne wady nie przeszkadzają, trzymać ręce na krzyż złożone na plecach”.

Możnaby dodać: albo niżej.

Przy owym spacerze napatrzyłbyś się na różne cuda urody. Jednemu łopatka wystaje na ćwierć łokcia, drugi z wybitem okiem i czerwonym nosem, trzeci tak koszlawy, jakby mu kiedyś wszystkie członki rozgruchotano i nićmi na prędce zszyto. Spędzili tu bodaj wszystkie, co lepsze, okazy wyrodków, pokręconych, przetrąconych i niedołęgów, wpakowali w wybladłe niebieskawe płótno więzienne i przepędzają po podwórzu, jakby w manerzu dla niedźwiadków. Zresztą świata bożego nie ujrzysz, prócz sklepienia, chmur i wierzchołka jakiejś akacyi za

murem, której codziennie tak się przyglądam, jakby najpiękniejszej pannie. Po jej gałęziach poznaję, czy na świecie zima, wiosna, czy lato.

W pośrodku podwórka sterczy z rewolwerem w futerale i pałaszem przy boku dozorca. Stoi i nudzi się strasznie, a gdy kto otworzy usta do sąsiada, wrzeszczy i wymyśla. I to jedyne jego zatrudnienie przy owych gęsich spacerach.

Chociaż cała banda jednako ubrana, zaraz na pierwszy rzut oka można odróżnić pospolitego zjadacza więziennego chleba od przygodnego aresztanta,—włóczęgi i obytego z temi murami ptaszka—od człowieka lepszego stanu, jakby to każdy miał wypisane na nosie. Tu dopiero nauczyłem się różniczkować ludzi podług ich chodu, postawy i wyrazu twarzy. Ba! układ wąsa, jedno spojrzenie mówi dużo. Tak np.,—politycznego więźnia, którego tu mamy, rozpoznałbyś od razu. Czemu? — nie umiem powiedzieć. Ma coś w sobie... Jakby z innej gliny. Nazywa się Korawski. Młody, ładny brunet, ze słabym zarostem.

Dozorca, który go miał pod swem okiem w pierwszym czasie po uwięzieniu (wzięli go wprost z ławy oskarżonych, chociaż chciał

stawić wysoką kaucyę i doczekać się wyniku apelacyi do sądu Rzeszy) opowiadał mi, iż Korawski jęczał i płakał skutkiem tego, że musiał się obywać bez papierosa! Łzy mu leciały ciurkiem po licach! Trzy doby nic nie miał w ustach! Ale to jednak hardy chłop!

Gdy nadinspektor (dawniej nazywał się Kwieciński, obecnie Blumke), przyjmując go w te gościnne progi, odezwał się do niego w swem wstępnem przemówieniu:

— Na, machen Sie sich nicht zum politischen Märtyrer. (Nie rób się pan politycznym męczennikiem).

— Ich mache mich nicht zum Märtyrer, sondern man macht mich. (Ja nie robię się męczennikiem, ale ze mnie go zrobiono).

Potem nadinspektor powiada mu:

— Mógłby pan stawić wniosek do pierwszego prokuratora jako przewodniczącego więzienia, aby panu było wolno dla odróżnienia się od innych—nosić własne odzienie.

— Ja nie pragnę odróżniać się od innych więźniów — mówi Korawski.

— Dlaczego? przecież jednak...

— Bo ich tak samo uważam za niewinnych, jak siebie...

Jak on to sobie wykalkulował, że wszyscy

niewinni, nie umiem powiedzieć. Dość, że tak odparł nadinspektorowi, jak mi mówił dozorca, który był przytem, a nasz biskup (tak nadinspektora nazywamy, bo chodzi w asyście dwóch nadinspektorów) wielce się zdziwił tą odpowiedzią, popatrzył się na niego ciekawie i długo nie wiedział, co powiedzieć.

— No, to dobrze — odezwał się wreszcie — że pan nie chcę się odróżniać od innych więźniów, bo niejeden z nich mógłby zapamiętać sobie snadnie fizyognomię wyróżniającą się ubiorem więźnia, później na wolności rozpoznać i w jakikolwiek sposób przypomnieć, iż pan siedział w kozie.

Wyobraź sobie, co mu na to odrzekł Korawski!

— Nie uważam mego uwięzienia za najmniejszą ujmę dla siebie, lecz dla tych, którzy mnie skazali.

Na to inspektor oniemiał i zmilczał.

Obchodzi się z nim, jak z jajkiem. Zresztą boi się zapewne, aby Korawski później nie rozpowiadał, że go źle traktowano, bo mogłoby się dostać przed parlament, a oni tego nie lubią.

Nie ma on tu prawie żadnych przywilejów. Wolno mu tylko palić światło do dzie-

wiątej, podczas gdy my kładziemy się już o siódmej na twardą jak deska „klapę”. Nadto jest wykluczonym od robót więziennych. Czyta i pisze całe dnie. Ale za to musi płacić półtorej czy dwie marki na dzień! Te mądrale jeszcze interes na nim robią!

Podobno pierwszy prokurator także dla niego bardzo grzeczny, jakby dla bogacza. Ale to pewnie polityka. Boi się jego pióra. Gdyby rzeczywiście był dla niego łaskaw, pozwoliłby mu brać obiady z miasta i byłby przyłożył rękę do tego, aby go za kaucyą wypuszczono na wolność aż do ostatecznego zatwierdzenia wyroku czy rozstrzygnięcia jego sprawy.

Było mu potrzebne wdawać się w politykę! Narażać się na kozę! Nikt mu za to ani kawałka chleba nie da. Co mu wogóle z tego przyjdzie, dalibóg, nie wiem. Przyjemność wątpliwa. Ściśle biorąc, dobrze, że go ukarają trochę, jeżeli taki waryat. Ale jednak żal mi go.

Nie udało mi się jeszcze zamienić z nim ani kilku słów. Ciekawym, co mi odpowie na pytanie: czemu wystawia się na więzienie zamiast starać się o zdobycie miłego grosza.

Ale rozmawiałem z innym eleganckim

i porządnym facetem. Włosy nam strzyże i goli gęby. Przytem, gdy dozorca w dobrym humorze, można pogadać. Kobietom musi się on bardzo podobać!

Ale o tym Niemcu muszę ci opowiedzieć. Ciekawy to człowiek; niejednego pożytecznego można się od niego dowiedzieć. To, com od niego posłyszał, dało mi dużo do myślenia.

On umiał sobie życie urządzić wesoło! A zdaje się tylko ten jeden raz pośliznęła mu się noga. Był długie lata w Ameryce. Jako fryzyer zarabiał w Nowym Jorku nie mniej jak 70 dolarów tygodniowo. Bo i damy umie fryzować. Wogóle wygląda na składnego do kobiet faceta. Co zresztą działał, nie mówi, ale chwali się, że walczył jako ochotnik na wyspie Kubie, odniósł ranę i pobiera pensyę inwalidzką. Następnie był, jak mówi, sekretarzem (może tylko lokajem) u syna prezydenta Wenezueli, Castra, rozbijał się z nim po Paryżu i wtajemniczał go w nocne życie. Skończyło się to, gdy wyszkolony u Maxim'a młodzieniec rozpił się zupełnie, tak, iż „nie było z nim rady".

— Za co pana wsadzili? — spytałem go.

Zachłysnął się i, dzwoniąc nożycami, powiada:

— W Berlinie, jako wojażer, poznałem się z ładną, wesołą dziewczyną... Inkasowałem znaczne kwoty za moją firmę, więc pewnego razu przy szampanie strzeliła mi myśl puścić się z nią do Monte Carlo... Ale mi szczęście tam nie sprzyjało... No... i dostałem półtora roku... Jeszcze mam sześć miesięcy... Skoro wyjdę, wyjeżdżam nad morze do Brighton na sezon, a potem na drugi brzeg wielkiego jeziora. Już mnie pewnie Europa nie ujrzy. Tu, w Niemczech, życie podłe, ospałe... Chyba Paryż...

Ach! Gdybym ja tak mógł drapnąć ze Staśką do Monte Carlo!...

W zeszłym tygodniu miałem dłuższą rozmowę z pewnym żydowskim kupcem, gdy wspólnie pracowaliśmy przy pakowaniu pantofli.

Skazano go za przechowywanie skradzionych rzeczy. Co się tyczy fałszywego bankructwa, w rodzaju Mejera, twierdzi on, że na to w pierwszym rzędzie trzeba pewnego kapitału zakładowego, nadto...

Co to? Wielkie dzwonienie nieznośnemi kluczami na korytarzu!... Bestya nadinspektor rewiduje znowu cele i wkrótce zjawi się u mnie.

Kończę zatem. Ściskam cię i polecam uściskać Stachę — ale nie zanadto, aby się dla mnie cośkolwiek zostało.

Twój *Kazik*.

Jeszcze $4^1/_2$ miesiąca! 137 dni!

III.

Stary Urban.

Cóż to za hałas wściekły?!

Białowłosy naddozorca, windujący się na piętro gmachu więziennego pod literą B, o ile noga ongi złamana i zrośnięta w pałąk pozwalała, począł szybciej dźwigać swą zwalistą postać po schodach, sapiąc jak miech kowalski.

Gdzieś ponad nim walił o mury dyskantowy wrzask, odbijał się o sklepienie długiego korytarza, biegnącego przez całe piętro, obiegał cały budynek, wpadał w zakątki i potężniał, aż piskliwy krzyk rozdarł głos męski, potem skowyt chłopięcy zmieszał się

z nim we wściekły rozhowor, który wpijał się w mury i przenikał je nawskroś. Jakby z metalu gmach zadźwięczał szalonym, jańczarskim hałasem.

W miarę jak naddozorca postępował w górę, rozpoznawał w tych głosach i dźwiękach wściekłość, ból, kopanie i razy niepohamowanej pięści.

Nagle trzask drzwi łoskotem gromu przygłuszył, przywalił krzyki, wszelako zaraz z poza drzwi celi pod numerem 105 wyrwało się przeciągłe wycie pobitego chłopaka. Snadź, pieniąc się w bezsilnej wściekłości, więzień szturmował pięściami do opancerzonych blachą drzwi, wrzeszczał coś w niebogłosy, tupał nogami, aż dozorca po raz wtóry wpadł do celi, pochwycił go za kołnierz i cisnął jak szczeniaka o ścianę, tak, iż chłopak huknął o nią głową, i z rozbitego czoła krew polała się obfitą strugą.

Smyk zatoczył się, obalił, dozorca kopnął go raz, drugi i trzeci i znowu drzwi zapadły z łoskotem, a długie wycie poturbowanego rozdźwięczało się, przechodząc zwolna w rozdzierające szlochanie, w płaczliwe skomlenie.

Zdyszany nadzorca, otworzywszy szybko sztachetowe, żelazne drzwi, wiodące na ko-

rytarz drugiego piętra, wtargnął do niego i huknął do dozorcy, którego spostrzegł przy jednej z cel w głębi.

— Co się to znaczy?!

I zaklął siarczyście, według wszystkich reguł pruskiego wachmistrza.

Dozorca spokorniał i zaczął się tłomaczyć:

— Utrapienie z tą hołotą! To chłopak z pod miasta. Wczoraj go przyaresztowali. Porządku w celi nie pilnuje, a jak mu słowo powiedzieć, to gębę ma od ucha do ucha... Verdammte Polakenbande!

Naddozorca ostrem spojrzeniem zmierzył podwładnego.

— Schumlinsky, nie wiesz tego jeszcze, że niewolno ci bić ludzi pod żadnym warunkiem?!... A ty znęcasz się nad wyrostkiem! Nie pierwszy raz!... Ty się doigrasz aresztu, wydalenia ze służby, no, i porządnych guzów od jakiego więźnia. Zamelduję to nadinspektorowi!...

Dozorca nieco pobladły zacichł, wiedząc, że daremnie odzywałby się do serca byłego wachmistrza, który zwrócił się ku drzwiom celi, skąd dochodziły szlochaniem przerywane jęki.

Na podłodze celi leżał plackiem wyrostek

w niebieskawych, na wszystkie boki łatanych rzeczach płóciennych, i drgał cały od łkania rozpierającego mu klatkę piersiową.

— Podnieść się!—ozwał się stanowczym, ale spokojnym tonem naddozorca i uważnie przyglądał się skrwawionej rozczochranej głowie krępego wyrostka, który niezwłocznie dźwignął się na nogi i, przysłaniając dłonią rozbite czoło, stał przed nim ze spuszczonemi oczyma, trzęsąc się na całem ciele od pobicia, wzburzenia i szlochania.

Nic nie mówiąc, naddozorca powiódł okiem po celi, aby odnaleźć ślady owego nieporządku usprawiedliwiającego scenę. Otworzył szafkę, zawieszoną na ścianie miniaturowego stolika, gdzie znalazł szczotki, łyżkę, chleb, sól, niemiecką książkę do nabożeństwa i kajet z przepisami porządkowemi—rozmieszczone prawidłowo. Obejrzał blaszaną miskę, naczynie do smalcu i szklankę, ustawione na szafie, popatrzył na łóżko, jak klapa zachaczone na białą ścianę tak, iż było widać tylko deski spodnie i przez szpary płótno twardego siennika. Zadowolony z przeglądu rzekł do malca:

— Sei still! Bądź cicho!

Lecz chłopak szarpnął się, jakby go osa

ukąsiła, i gotów rzucić się na naddozorcę, wołał po polsku:

— Nie chcę tu siedzieć! Macie mnie puścić zaraz!... Chcę do matki... Puśćcie mnie... Puśćcie!

Taką przybrał postawę, jakby wymknąć się chciał przez uchylone drzwi, lecz naddozorca położył mu silną dłoń na ramieniu i rzekł niepewną polszczyzną:

— Trzymaj gębę... bo cię wcale stąd nie puszczą do matki.

Z obawy, by kto nie posłyszał, że mówi po polsku, wyjrzał szybko na korytarz, a potem ciągnął półgłosem:

— Ty bądź cicho, mówię ci. Umyj sobie gębę i sprawuj się, bo ci matka jeszcze nakładzie...

Rzuciwszy okiem na tabliczkę, przytwierdzoną na szafie, gdzie wyczytał: Adalbert Malik, mówił dalej:

— Gadaj, Wojtek, cożeś to zbroił?

Skoro chłopak posłyszał zrozumiałe polskie słowo, począł się uspokajać i wlepił bystre spojrzenie w mówiącego, ze strachem i z jakiemś oczekiwaniem. Wydobył grubą więzienną chustkę z zanadrza, przycisnął ją do czoła i zapanowało milczenie, które wresz-

cie przerwał mały więzień i począł opowiadać mętnie, z przerwami, swoją historyę.

— Toś ty ciskał kamieniem na pana pułkownika? Na taką wielką osobę?—przerwał mu naddozorca. — A czemu?

— Bo Stachu... bo... — jąkał się malec.

— Jaki Stachu?

— A no mój brat, co służy u wojska!

— I co Stachu?...

— Stachu powiada, że ten pułkownik ciągiem szkaluje na katolików... i powiada: „żebym tak mógł, tobym nabił tej psiajusze takiego guza, abo chociaż — powiada — kamyczkiem go świsnął... I powiada, jak go pułkownik raz... (do domu wrócił pijany), krzyczał na niego (bo u niego jest za bursza) „Verfluchter Polak” i wyrżnął go przez pysk...

— Więc ty upatrzyłeś sobie tego pana pułkownika i...

Chłopak kiwnął głową, a naddozorca podrapał się za uchem.

Na księżycowej, dobrej i miłej jego twarzy odmalował się frasunek i myślał sobie:

— Jeśli on to powie sędziemu śledczemu, to go ślicznie ubiorą!

— Tożeś ty gałganie z figli ciskał kamieniami? — zapytał.

Chłopak nie wiedział co odrzec. Patrzał się tylko w oczy starego, które zdawały się wpychać coś w niego gwałtem.

— Co? Z figli? Aus Unsinn?

Wojtek kiwnął głową po chwili wahania.

— Tyś na wróble ciskał, co? I pana półkownika trafił, co?

Teraz mały aresztant śmiało zatwierdził to ruchem głowy. Naddozorca przetłomaczył mu to na niemieckie i ciągnął:

— Ty panu sędziemu tak powiedz... prawdę. Słyszysz? Prawdę mu powiedz! Jak się zapyta: czemu? To mu powiedz jak mnie: Aus Unsinn habe ich nach Spatzen geworfen... Rozumiesz?... A nie baj byle co... — pouczał go naddozorca, aż raptem zagadnął:

— Umiesz ty pacierz?

— A umiem! Matka mnie nauczyła.

Ton głosu, miłe oblicze i przyjazne spojrzenie starego człowieka działały na małego łobuza dziwnie kojąco, wlewały weń pokój i jakąś ufność. Zapomniał o bólu, o dozorcy i spozierał na zawiadowcę jak na matkę, gdy na Gwiazdkę przyniosła mu z miasta pierników i nowe buty.

— A nie uczyła cię to matka, że masz być posłuszny i pokorny?

Chłopak zwiesił głowę zawstydzony, nad-

dozorca zaś wyjrzał znowu na korytarz, a potem ciągnął:

— Jak ty, Wojtek, uklękniesz do pacierza, to mów tak: „Panie Boże pomóż mi, ażebym był pokornego i cichego serca, ażebym nie gniewał pana dozorcy... bo chcę wrócić do matki jaknajprędzej, a do więzienia nie chcę dostać się już nigdy”... Rozumiesz? Zaraz teraz klęknij, złóż ręce i tak się pomódl, jak ci mówiłem. Verstanden?

Z niebieskich oczu chłopaka było można odgadnąć, że rozumiał wszystko, chciał być posłusznym, że byłby poszedł w ogień, za tym człowiekiem, który ujął go sobie odrazu i zapanował nad jego uczuciami. Sponiewierany, pobity, w strasznem osamotnieniu bezradny, dwunastoletni aresztant uchwycił oburącz dłoń, która wyciągnęła się do niego przyjaźnie i przylgnął do niej, jak rozbitek do deski ratunkowej.

Wyszedłszy z celi, naddozorca postał przez chwilę opodal, poczem zajrzał cichuteńko przez szybkę we drzwiach do Wojtkowej klatki, gdzie ujrzał zapłakanego, skrwawionego chłopaka na klęczkach, z łokciami wspartemi na stołku, w żarliwej modlitwie.

Oddalił się na palcach.

Gdyby kto był zauważył, że on tyle cza-

su strawił z więźniem, byłoby z tego powodu między dozorcami „gadanie". A cóż dopiero, gdyby posłyszano jego słowa? Stary naddozorca ukrywał się przed ludźmi z tem, że, mianowicie w ostatnich latach, niósł promień pocieszenia do cel, gdzie było potrzeba, czując, że nie licuje to wcale z panującym tonem żołniersko-więziennym. Ogólny nastrój sprawiał, że „dziarskość" cechowała dozorców w postępowaniu z więźniami tak, iż mieli na ustach klątwę, wyzwisko, przyganę, a nie dobre słowo. Na domiar naddozorca pozwalał sobie częściej mówić po polsku z aresztantami, aniżeli dałoby się to usprawiedliwić. I w tym wypadku nadinspektor Blumke, dawniejszy Kwieciński, skrzywiłby się o to na niego, aczkolwiek naddozorca „Jacob Urbanneck", a według metryki— Urbanek miał poważanie i około dwudziestu lat służby więziennej po za sobą.

Ojciec jego był kamerdynerem u pewnego landrata w Poznańskiem, który przeniesiony do Szlezwigu, zabrał wiernego i doskonałego sługę wraz z żoną i rodziną. Jakób przeto wzrósł na obczyźnie, ale ojczystego języka nauczył się przy matce, która do śmierci nie mogła nałamać języka do „szwabskiego szwargotu". Zaciągnięty do

wojska, dzielny i piękny jeździec „kapitulował” i po kilku latach dosłużył się rangi wachmistrza. W tym czasie ożenił się z bardzo ładną garderobianą, pochodzenia duńskiego.

Gdy podczas manewrów koń przewrócił się z nim i Urbanek złamał nogę bardzo nieszczęśliwie, dostał się jako naddozorca do pewnego zakładu karnego na Pomorzu, skąd przeniesiono go do Poznania, ze względu na to, że władał językiem polskim.

Osławione „wschodnie kresy” powitał nie bez pewnego przewrotu w uczuciach, chociaż iskra polskości nie zapłonęła nigdy śmielej w piersi urzędnika, zasklepionego w ciasnem kółku pospolitych zajęć. Zresztą na pasku niemczyzny trzymało go jego najbliższe otoczenie: dozorcy, żona i dwie córki.

Z ojcowską dumą, do śmieszności posuniętą, spozierał na swe dziewczęta, które po prostu czarowały wszystkich swym wdziękiem, szykiem i zupełnie niepospolitą urodą. Były za piękne, aby mieszkać na czwartem piętrze, mieścić się w dwóch pokojach z rodzicami i chodzić codzień do składu. Więc pewnego dnia zdarzyło się, że gdy pojechały do Berlina „w odwiedziny do przyjaciółki”, nie wróciły więcej. Niespodzianie bowiem,

jak pisały, dostały doskonałe miejsce w magazynie, tak świetne nawet, że wkrótce przynęciły do siebie matkę i usilnie starały się nakłonić ojca, aby kazał się pensyonować i pospieszył do nich. Zwłaszcza młodsza Lucy, źrenica ojcowskiego oka, długo i wytrwale szturmowała do serca swego „allerliebsten Papachen".

Ale to serce, dotychczas względem niej woskowe, okazało się niespodzianie kamiennem. Stary Urban nie odpisał jej ani słowa i pozostał sam jeden w Poznaniu, chociaż listy córki odczytywał wielokrotnie i chował głęboko do komody. Odtąd, nawet w knajpie, gdzie spędzał wszystkie wieczory, nie wspominał o córkach ani słówkiem. Umarły dla niego.

A knajpa była jego najmilszym przybytkiem. Pijaństwo swe jednak, jako człowiek wyszkolony w życiu i władający sobą, ujął w systematyczne karby. Rano nie pijał nigdy, wieczorem zawsze, nigdy nie wychodził trzeźwym, ale nigdy też zupełnie pijanym. Mimo to służbisty i obowiązkowy wachmistrz pełnił swe powinności beznagannie, nawet z pewnem sakramentalnem namaszczeniem i przeświadczeniem o ważności swego zadania. Sam pierwszy prokura-

tor, najwyższy władca poznańskiego więzienia, nie był w oczach jego tak niezbędną osobistością, jak on sam. Nie mógł sobie wyobrazić, jak dałoby się utrzymać wzorowy ład i porządek, gdyby opuścił więzienne progi. Dozorców trzymał w ryzie żelazną ręką, nie było drobnostki, której nie przypisywałby ogromnej wagi.

Lecz dla więźniów miał zwykle dobre słowo, a widok łez poruszał w nim głęboko najczulsze struny serca. W obliczu cierpienia miękł, przeobrażał się z dozorcy w człowieka, odnajdywał w duszy tony przedziwnej soczystej łagodności i wtedy sam nie wiedział, skąd brały się słowa, rozchmurzające czoła, ocierające łzy, kojące bóle.

Kiedyś, w rozmowie przy piwie, posłyszał z ust pewnego pijaka, zawadzającego chętnie o kwestye religijne, że „więźniów pocieszać” jest obowiązkiem chrześcijanina. Tymczasem żaden chrześcijanin nie pomyślał nawet o tem. A kapelan więzienny?!... Chodził wprawdzie po celach, wstępował tu i owdzie na kilka minut, ale nigdy nie było go tam, gdzie było istotnie potrzeba moralnej podpory. Widocznie lękał się styczności z cierpieniem.

Gdy stary Urban zrobił to spostrzeżenie

i zakomunikował je swemu towarzyszowi wieczornemu, „Bierbruder” w sarkastycznym uśmiechu odsłonił spróchniałe zęby i rzekł:

— Przeciętny kapelan nie ma serca, tylko żołądek!...

A dozorcy?! Przecież oni z natury rzeczy powołani byli do łagodzenia cierpień tych, którzy byli na nie skazani. A tymczasem obchodzili się z nimi jakby z dzikiemi bestyami w menażeryi!

Stary Urban wszedł w siebie. Przez tyle lat, sam szczęśliwy, myśląc jedynie o swych córkach, o zadowoleniu przełożonych i pozyskaniu ich uznania, ani na moment nie wnikał w niedolę, o jaką ocierał się nieustannie, jeśli nie narzuciła mu się jaskrawo przed oczy. Zasłużył sobie na gniew niebios...

„Więźniów pocieszać”!... Dla opuszczonego starca otworzyła się nowa sfera. Mury więzienne, które dotąd zdawały się zaludnione przez dziką, przeklętą hordę, stały się teraz w jego oczach mroczną przystanią zapomnianych rozbitków życiowych, którym, niby żydom mannę, Bóg chciał zesłać przez niego ożywcze słowo pocieszenia, co dźwiga z błota i wynosi dusze ponad ocean ziemskiej niedoli...

Więźniów pocieszać?! Czy on temu podoła? Nie wątpił o tem, bo serce jego smutne rozgorzało taką miłością do owych więziennych twarzy bladych i nędznych, że z tego uczucia czerpał pewność sobie. I dzięki temu odnajdywał intuicyjnie właściwe słowo, krzepiące ducha.

Stary Urban nie wiedział, że chcąc zapobiedz występkom, trzeba leczyć dusze, wytwarzać w upadłych nastroje wręcz odmienne od tych, jakie zaprowadziły ich za kraty. Ale dość, że więzienie dziwnie mu wypiękniało. Przyrósł do niego, uwiązł w niem całą duszą tak, że jeszcze często wieczorem, wracając z posiedzenia w piwiarni do siebie, kiwał grubym palcem po mentorsku i mruczał pod siwym wąsem, rozmawiając w myślach ze skazańcem.

A skazańców łaknących przebłysku jasności było bez liku! Więzienie chwytało w swe okrutne pazury co raz to nowe ofiary, lecz długoletni dozorca różniczkował przybyszów snadnie i, misyi swej oddany namiętnie, odgadywał, gdzie było go potrzeba najwięcej.

Bywały wszakże wyjątkowe postacie, które nawet dla niego stanowiły łamigłówkę.

Do tych należał stary chłop, Marcin Wilczek, gospodarz na kilkudziesięciu morgach, który w pewną niedzielę na krańcu Poznania zaczepiony, jak uważał—bez przyczyny, przez policyanta, znanego opoja, miał poturbować go z pomocą syna. Gazety polakożercze pochwyciły tę sprawę chciwie, przedstawiły trywialne zajście, jako wyraźny objaw ducha rewolucyjnego i przy swych wpływach nastroiły na ten ton prokuratoryę i izbę karną tak dobrze, że dwaj „rewolucyoniści”, ojciec i syn, zostali skazani odpowiednio do nabożnych życzeń, szantaż i denuncyatorstwo uprawiających gazet bractwa hakatystycznego. „Dziewięć miesięcy więzienia”! — brzmiał wyrok dla jednego i drugiego, chociaż sam policyant potwierdził zeznania świadków, zapewniających, że stary Wilczek zachował w kłótni z policyantem względny spokój, nie uderzył go ani razu i jedynie podniesionym tonem uskarżał się na bezprawną i grubijańską zaczepkę.

Od chwili wyroku stary gospodarz oblókł się w kamienne milczenie. Na twarzy jego energicznej, chudej, pooranej, ogorzelizną chłopską pokrytej, osiadł wyraz lodowatej bierności, jakby muskuły licowe zakrzepły, nagle, a on cały przemienił się w automat

bez iskry życia. Na przechadzce z więźniami powłóczył nogami miarowo, uderzał w takt pantoflami w kamienny chodnik, jak cepami, z głową nizko zwieszoną i wzrokiem utkwionym przed siebie. Nie widział nic i nikogo, a, zagadnięty przez kogoś, był jak kamień martwy, nieporuszony, głuchy.

Dnia tego, pod wieczór, naddozorca Urbanek, roznoszący listy do więźniów w „swym" gmachu, wtoczył się do jego celi z rozklejonym dokumentem sądowym w ręku.

— Otóż macie odpowiedź od trybunału apelacyjnego z Lipska na wasz rekurs — rzekł półgłosem do więźnia, siedzącego na stołku przy stoliku i zamilkł, patrząc na Wilczka, który ujął powoli w palec żółtawy papier tak delikatnie, jakby opłatek, i trzymał go bez ruchu, nie unosząc głowy.

Jak każdego Polaka w Poznańskiem, widok zwiniętego na sposób urzędowy dokumentu przejmował go zapewne dreszczem złowrogiego przeczucia.

Wreszcie rozwinął pismo, z kilku arkuszy złożone, i wlepił w nie bezmyślny wzrok. Ale nie czytał, tylko patrzał niby na martwy przedmiot bez znaczenia, na który kazano mu zwrócić oczy w hypnozie.

Naddozorca chciał odejść, lecz głos wewnętrzny powstrzymał go.

— Pewnie nie zrozumiecie co tam piszą?... Więc wam powiem, że wniosek o wznowieniu waszej sprawy odrzucono... Nie było można spodziewać się czego innego... Wasza dziewięciomiesięczna kara liczyć się będzie od tu wypisanej daty zatwierdzenia zapadłego w Poznaniu wyroku... Szkoda, że apelowaliście, bo przedłużyliście sobie więzienie... Ale czas ten przejdzie, wszystko przechodzi. Ofiarujcie to Panu Bogu... Dziewięć miesięcy—nie wieczność...

Przy tych ostatnich słowach naddozorcy chłód uniósł głowę i spojrzał w poczciwą twarz starego Urbana z jakimś dziwnym spokojem. I po raz pierwszy w tych murach ozwał się:

— A co was to obchodzi?

W bladych jego źrenicach błysnął gniew, ale oblicze pozostało skamieniałe.

— Moją rzeczą powiedzieć wam, co ten papier zawiera za wiadomość, ponieważ nie rozumiecie.

— Ta-ak?... — wycedził chłop leniwie.— A co was obchodzi, czy przedłużyłem sobie karę, czy nie?

Urbanek zawahał się z odpowiedzią.

— Obchodzi mnie to o tyle, że jako człowiek życzyłbym wam innego obrotu rzeczy...

— A co mnie mogą obchodzić wasze życzenia? — pytał dalej niezłą niemczyzną Wilczek z lodowatą odpornością.

— A to wasza rzecz! — rzucił bez urazy Urbanek i zacichł, a chłop z nieporównanym żelaznym spokojem wycedził:

— To wy swe życzenia ofiarujcie Panu Bogu, bo ja ich nie potrzebuję...

— Tem lepiej... Dobrze, że Pan Bóg dał wam taki hart...

— Hart, powiadacie, dał mi Pan Bóg... ale sąd dał mi więzienie... A cóż mi po harcie, kiej z więzienia mnie nie wydobędzie i dyabli gospodarstwo moje wezmą?... Dyabli górą!...—dorzucił Wilczek i po chwili powtórzył:

— Dyabli górą! Gospodarują sobie niby świnie w grochu i krzywda ludziom naszym się dzieje, krzywda...

Ostatnie słowa przeszły w szept i zdało się, utonęły gdzieś w topieli niedoli.

W piersi urzędnika więziennego zadźwięczała potężnie nuta bolesna, ozwał się w nim głos krwi polskiej i stanął sercem po stronie tych, którym działa się krzywda...

Jeszcze chwilę rozmawiał z więźniem; dowiedział się, że Wilczek ciężką, mrówczą, długoletnią pracą dopiął celu swych marzeń: zdobył szmat ojczystej ziemi, a teraz, gdy jednocześnie z jedynym dorosłym synem miał ręce skrępowane na przeciąg długich miesięcy, był zagrożony ruiną...

Ze zwieszoną głową oddalił się Urbanek. Nie bolało go to, że promienie jego życzliwości nie przeniknęły przez granitowy podkład tej chłopskiej duszy. Przeciwnie miał to zadowolenie, że zamurowane serce więźnia otworzyło się przed nim, i nie wątpił, że znajdzie do niego przystęp.

Atoli dziwnym i niepojętym wydał mu się stan rzeczy pruskich i ludzkich. Karano Polaków z iście drakońską surowością, albo raczej z niegodziwą bezwzględnością zawodowych oprawców. Nadto zaś rzucił mu się w oczy fakt, że uwięzienie nieraz pociąga za sobą skutki stokroć dotkliwsze od kaźni samej, skutki nieprzewidziane przez nikogo przy wymiarze kary nie uwzględnione. Tak więc nadzorca odkrył w wyrokach ludzkich jakiś straszny błąd...

Przez kilka minut chodził po korytarzu, jak błędny, nim udał się do innych cel, gdzie miał oddać listy.

W końcu otworzył drzwi do celi pod numerem 206.

W mdłem świetle lampki, uczepionej na białej ścianie nad stolikiem, migotała wysmukła, ciemna postać młodego bruneta o bladej, wyrazistej twarzy z niewielkim wąsem. Jakby cień grobowy w ścieśnionym a wysokim sarkofagu poruszyła się bez szelestu, mglisto.

Kilka razy dziennie więzień Korawski zwykł był wymierzać tak celę ospałym krokiem w pantoflach, w workowatym uniformie więziennym. Pięć kroków od drzwi pod okno! Aby nie doznać zawrotu głowy, nawracał na przemian raz w prawo raz w lewo i znowu posunął się pięć kroków do muru, z którego nie było wyjścia. Podobnie, jak dziki zwierz w okratowanej klatce.

Na widok naddozorcy zatrzymał się pod oknem.

— No, mam dla pana list i... książkę — rzekł stary Urban wesołym tonem, kładąc jedno i drugie na stole, i ciągnął:

Może pan sobie wiele rzeczy z książek wyczytać... Przyda się to pewnie na później. Człowiek wykształcony ma tu lepiej! Dobrze, że otrzymał pan pozwolenie czytania książek. Lepiej pan ma od parobka, co do pracy

ręcznej na wolnem powietrzu przyzwyczajony, musi tu w zamknięciu ślęczeć.

Chmurna twarz literata rozjaśniła się trochę, bo widok sympatycznej fizyognomii starca działał na jego wrażliwą naturę, jak balsam.

Już przez swe zjawisko, przez swój ton gawędziarski, swobodny, stary Urban wywierał błogosławiony wpływ na znękane umysły przybitych ludzi, tak, iż witano go w celach radosnem spojrzeniem.

— Nie lepiej... — odrzekł więzień polityczny, przecząc ruchem głowy emfatycznie.— Im więcej człowiek myśli, tem mu gorzej...

— Na jak długo pana skazano? Ośmnaście miesięcy? No, nie takie to wielkie rzeczy!... — ciągnął Urbanek z krzepiącym ducha optymizmem. — Rok, półtora w życiu młodego człowieka, to niewiele. Inni w tej celi siedzieli!... Był tu pewien, już stary, wielki pan przez dwa lata. Kwękał, stękał, przez cały czas nie był zdrów... Pan z początku prawie płakał, że papierosa nie dali panu, a jemu było brak innych rzeczy: zdrowia, dzieci, a tam dzieciom jego brak było ojca... Gdyby pan wiedział, co tu bywali za nieszczęśliwi ludzie!.. A pan sobie książkę czyta!

Korawski nic nie mówił, tylko z widoczną przyjemnością patrzał w oblicze starego dozorcy. Odwykł od rozmawiania, nauczył się żyć i mówić z sobą, czerpać ze swych zasobów duchowych i wysnuwać z nich przędzę. Dość było mu teraz wchłaniać w siebie sympatyę, bijącą od starca, który wychodząc rzekł:

— Już się pan trochę przyzwyczaił! Słyszałem kiedyś zdanie, że kogo Bóg umiłował, temu dał koronę cierniową na ziemi...

Klucz zgrzytnął w zamku.

Korawski rozdarł szybko list.

„Wystaw sobie — pisała między innemi siostra — Netka wróciła z Paryża. Bardzo żywo dopytywała się o ciebie, ubolewając ogromnie nad twym losem. Starała się nawet z siostrą o pozwolenie odwiedzenia cię, ale napróżno. Zamierza ci posłać jakąś ulubioną książkę... Przypuszczam, że przejdzie więzienną cenzurę. To nie polska książka“...

Korawski czytał te wiersze raz, drugi i trzeci, znajomi przesuwali mu się przed oczyma, jak żywi; jasna główka Netki wyjrzała z pomroku, niebieskie oczy błysnęły tak figlarnie, jak wówczas... pod reglami zakopiańskiemi. Coś w piersi mu zadrżało.

Od papieru tego szło jakieś ciepło, bo rumieniec zafarbował blade lica więźnia, stęsknione za słońcem.

Z pewnem nabożeństwem wziął do ręki książkę, jak zwykle więzień, dla którego książka, wynosząca go ponad srom i niedolę chwili bieżącej, posiada szczególną wartość. A była to książka od „niej"!... Poezye Musset'a, które kiedyś czytywali na tle Tatr... w niezapomniane wieczory...

I, rzecz dziwna, książka rozwarła się prawie sama... w miejscu gdzie jakaś rączka... „jej" rączka włożyła kilka fijołków...

— Netka! Netka!... — ogromny okrzyk serca wezbrał jego piersi. Splotły się w niem radość, wdzięczność i miłość w jeden akord szczęścia. Padł na stołek, rzucił się twarzą na książkę, na fijołki i gorącemi łzami zraszał je, całując, całując bez pamięci...

— Netka!... Netka!...

Znikło więzienie, pierzchły cienie, chmury i wszystko, a on padał do nóg tej złotej dziewczyny polskiej, co niespodzianie po przez te mury przeklęte rzuciła samotnemu więźniowi bryłę słońca... coś, jakby cudne słowo wyznania...

Tego wieczora w celi 206 było święto.

Nawet w warowne więzienie zakradła się miłość i pod stopą jej rozkwitło szczęście.

Światła dawno przygasły, noc otuliła pruskie więzienie, w ciszy cmentarnej tylko raz po raz dawały się słyszeć kroki warty. Korawski bodaj jedyny nie spał; śnił na jawie sny szczęścia, śnił, że u progu więzienia czeka nań miłość kwietna, górna, dozgonna, aż wreszcie zimny podmuch wątpliwości rozwiał różowe marzenia.

— A jeśli to tylko kaprys?... Poryw przelotny?... Ha, dzięki i za ten zwodniczy przebłysk szczęścia... za czarowne złudzenie.

IV.

Trzy spotkania.

— Baron!... Daję słowo, prawdziwy baron! Pan taki, powiadam ci, że aż strach!... — szeptał posługacz czyli t. zw. kalefaktor trzeciej stacyi gmachu B, przez drzwi celi do swego znajomego, któremu, zastępując niejako dziennik więzienny, zwykł był donosić nowiny i nowinki, o ile dozorcy nie było na korytarzu.

— E, gadanie!... — powątpiewał więzień.

— Kiedy ci mówię! Czytałem sam na tabliczce: Freiherr von Schicht... Wegen Todschlag... Powiadali, że przejechał gdzieś

w nocy stróża nocnego automobilem, tak, że ani zipnął...

— Na jak długo go wsadzili?—pytał głos z za drzwi.

— Na miesiąc.

— Tylko na miesiąc?! Inny dostałby za to przynajmniej cztery...

— To pewno—przyznał kalefaktor.—Takiego pana nie tak biorą, jak pospólstwo. Najładniejszą celę mu dali, wikt dostaje z hotelu, gazetę mu codzień dozorca nosi, na spacer chodzi sam w swoich rzeczach i wolno mu nawet wtedy na dworze palić cygaro.

— A to bestya ma dobrze! — westchnął zamknięty więzień.—A nie mógłbyś od niego wydobyć cygara?

— Zachciewa ci się!... Albo on ma cygara u siebie w celi, myślisz? Dozorca trzyma je pod kluczem i po jednem wydaje mu na podwórzu. Zresztą skąd wziąłbyś zapałkę i gdzie cygaro wykurzyłbyś, hę?

— Taki ma tu lepiej, niż my na wolności!...—westchnął znowu więzień za drzwiami.

Pan baron był innego zapatrywania. Czuł się pokrzywdzonym. Gdy pomyślał, że dla jakiegoś „dummen Polaken", który mu się

nawinął przed samochód, odebrano mu miesiąc życia i wtrącono, jak złoczyńcę, do więzienia; krew junkierska w nim się burzyła. Wskutek takiej bagateli! A są ludzie w Prusach, którzy wykrzykują po parlamencie i zebraniach na wrzekomą „Klassenjustiz", na stronniczy wymiar sprawiedliwości! Tymczasem jego—barona i oficera—wpakowano do kozy na całych długich dni trzydzieści o takie nic!...

Nudził się dyabelnie. Każdy dzień wydawał się miesiącem, rokiem. Prokurator, sam oficer rezerwy, uwolnił go oczywiście od ordynarnej pracy więziennej, więc pan baron wczytywał się w sportowy żurnal, pisywał sążniste listy do domu, mozolił się nad systemem rozbicia banku w Monte Carlo, wreszcie medytował nad tem, jakim sposobem dałoby się wydobyć od regencyi bezprocentową pożyczkę, do jakiej, jako patryota, mieszkający na zapadłych „kresach wschodnich" — in der Polaken — czuł się upoważnionym. Kogóż rząd miał „wzmacniać" i zbroić przeciw zalewowi polskiemu, jeśli nie filary tronu?

Wśród strasznych nudów nawet z dozorcą wdawał się chętnie w pogawędkę. Dlatego, gdy pewnego dnia naddozorca Ur-

banek przyniósł mu list i gazetę, zagadnął go o nazwisko i na jego odpowiedź zawołał uradowany:

— Rzeczywiście?!... Odbiło mi się już to nazwisko o uszy. Sądziłem, żem się przesłyszał... Więc: Urbanneck!... Ciekawym czy pan krewny?... Lat temu siedm czy ośm znałem w Berlinie dwie siostry. Zdaje mi się, że pochodziły z Poznańskiego, czy ze Śląska. Mieszkały wspaniale, w pobliżu Thiergarten'u. Obie przepyszne kobiety... bajeczne! Najpiękniejsze kobiety w Berlinie! Nieraz figurowały w brukowych ilustracyach, jako „piękne Berlinianki" w fantastycznych strojach z balu maskowego... Może najurodziwsze kobiety, jakie widziałem w życiu!... Zwłaszcza młodsza, Lucy, czarująca, olśniewająca, zjawiskowa!

Pan baron w zachwycie szafował superlatiwami i wykrzyknikami, nie uważając, iż naddozorca rozczerwieniony toczył niespokojnem okiem wokoło i zdało się, iż nie wie, czy uciekać, czy zostać i słuchać.

— Czy to nie pańskie krewne... córki? Jeśli tak, to mogę panu powinszować. Cudowne, boskie białogłowy!...

— Nie! Nie mam córek...—mruknął stary Urban.

— Starsza Anita—ciągnął p. baron żywo pod wpływem wspomnień—poszła za mąż za fryzyera dobrze sytuowanego. Co się stało z młodszą, nie wiem... straciłem je obie z oczu, ale za mych berlińskich czasów utrzymywała stosunek z oficerem austryackim przy ambasadzie, potem odbił mu ją pewien książę... Śliczna była i miła... Na wystawę!...

Stary naddozorca stał oszołomiony, przykuty do miejsca słowem: „Lucy", dytyrambami pochwalnemi, które, mimo wszystko, głaskały mu serce, przenikały go subtelną radością, jakiej nie zaznał od dawna. Był tak wzruszony, że nogi chwiały się pod nim i ręce drżały, i tak upojony, że tonął cały w morzu skłębionych uczuć.

Odszedł bez słowa. W ciągu następnych dni był dziwnie chmurny i milczący; nawet przy wieczornem piwie trudno było wydobyć z niego słowo.

A w tydzień potem zaszła rzecz niebywała: stary Urban poprosił o kilkodniowy urlop! Czuł się niezdrów—mówił. Tymczasem włóczył się od rana do wieczora, zaglądając do różnych traktyerni, gdzie przepijał do każdego, kto się nawinął. Pragnął skryć się przed samym sobą w zgiełku pi-

wiarni, uciec przed czemś. Podchmieliwszy sobie, zaprzysięgał się, że nie wróci więcej do służby, poda się niezwłocznie do dymisyi. Dosyć nadarł butów po schodach więziennych! Dosyć napatrzał się na przeróżnych łajdaków!

Niejeden mógł w głowę zachodzić, z jakiej przyczyny Urbankowi nagle więzienie całe tak obrzydło. Bo nie było tego złego, czego stary Urban nie byłby teraz mówił o zakładach karnych. Mimo to, w kilka dni okrągłe, białym, zawiesistym wąsem ozdobione oblicze naddozorcy pojawiło się znowu w obrębie muru więziennego. Ale nie zrzędził na dozorców, jak zwykle; milczący snuł się po korytarzach, unikając wyraźnie oczu ludzkich.

Nazajutrz w południe, gdy wracał z obiadu, u furty więziennej przydybała go jedna z dozorczyń oddziału dla kobiet — dosyć tęga, trzydziestokilkoletnia niewiasta, odziana skromnie a porządnie, z białym czepeczkiem, uczepionym wysoko na włosach. Kładąc mu rękę na ramieniu, ozwała się półgłosem, poufnie:

— Czemu pan do niej nie zajrzy? Ona prosi, błaga...

— Co?! — huknął naddozorca rozgniewany.—A co mnie to obchodzi?... Nic tam nie mam w waszym oddziale do roboty! Jeszcze czego?!... A przepisy?!

— Niech pan się zreflektuje! Ona koniecznie chce pana zobaczyć. Potrzebuje waszej rady. Jest pan przecież jej ojcem...

Na to słowo stary opuścił głowę na piersi w niemocy i milczał długo. Wreszcie wycedził z pomrukiem:

— Powiedz jej pani, że... że poproszę o pozwolenie zobaczenia się z nią na „Sprechstunde”, w piątek...

Lucy, jego Lucy była w więzieniu!...

Od chwili, gdy wieść ta, jak grom, uderzyła w niego, zapanował w nim straszliwy chaos, tak, iż nie mógł dać sobie rady. Uciekł od murów więziennych, lecz znowu wrócił do nich, przywabiony niepojętą siłą magnetyczną. A myśl jego, jak ptak błędny wokoło gniazda, krążyła nieustannie dookoła celi, w której było jego dziecko...

Nie pytał o nic, lecz nadinspektor, Blumke, którego osoba pięknej córki naddozorcy żywo zajęła, poinformował go o wszystkiem. Lucy została skazaną w prowincyonalnem mieście w Poznańskiem na sześć tygodni więzienia za to, że—jak powiada—jadąc do

pewnego majętnego właściciela dóbr rycerskich—zabrała ze sobą „młodą przyjaciółkę”, a rodzice jej dali o tem natychmiast znać policyi, która przyaresztowała obie kobiety w drodze, jedną odesłała ciupasem do ojcowskiego domu, a drugą do najbliższego więzienia.

Nadinspektor nie omieszkał opowiedzieć w jak pięknej toalecie przybyła „urocza Berlinianka”, że miała brylantowe butony, drogocenną bransoletkę i inne kosztowności.

Fortuna kołem się toczy. Urocza Berlinianka znalazła się pod kluczem, gdzie zaprzężono ją do łatania podartych odzień więziennych, cerowania pończoch i rozwieszania bielizny. Mogła jeszcze poczytywać sobie za łaskę ze strony dozorczyni, że przez wzgląd na jej delikatne ręce nie kazano jej prać. Ale tak, jak wszystkie ulicznice i złodziejki, z których rekrutowała się przeważnie stacya kobiet w gmachu A, musiała chodzić w ordynarnej sukni z niebieskawego płótna i nosić chłopski, biały czepek skończonej prostoty.

Gdy niosąc bieliznę do suszenia, stykała się z sąsiadkami, nie obywało się bez przytyków i uszczypliwych uwag pod jej adre-

sem, bo wieść o brylantowych butonach pokutowała w całem więzieniu, wytwarzała wokoło niej legendę i rozbudzała zazdrość. Jadowite języki znajdowały co chwila coś u niej do krytykowania, tak, że dozorczyni, wyszczególniając ją, nieraz musiała karcić rozwydrzone skutkiem abstynencyi pijaczki.

Pewnego dnia z południa kilkanaście internowanych kobiet powracało przez dziedziniec, dzielący oba gmachy, do pierwszego budynku, niosąc, po dwie, koszyki z bielizną, gdy w przez pół rozwartych podwojach zastąpiło im drogę trzech mężczyzn—dwóch więźniów we własnych ubiorach pod okiem postępującego tuż za nimi dozorcy, którzy sami odbierali w kancelaryi swe jedzenie, jakie im tam odstawiano z hotelu trzy razy dziennie. Jednym z nich był baron Schicht. wysoką, zwalistą swą figurą zapiarający otwór, tak, iż cały rząd niebieskawych, niby zakonnych postaci musiał się zatrzymać przed drzwiami.

Obie grupy zlustrowały się wzajemnie ciekawemi spojrzeniami i nagle baron zmieszał się, poczerwieniał, bo spoczęło na nim dwoje dobrze mu znanych, ślicznych, jasnych oczu, pięknie zbudowanej blondyny,

na której białe, trochę od pudru zepsute lica wyskoczył równocześnie szkarłat wielkiego zakłopotania.

Lucy! Baron!... Ona, dźwigająca kosz bielizny z ordynarną nierządnicą, on z menażem i butelką piwa w rękach, jak lokaj! Oboje pod strażą więzienną!... A to spotkanie! Tam do dyabla!...

Przelotna iskra hulaszczych wspomnień zapaliła się w nich i zagasła, zostawiając gorzki osad poczucia ironii losu. Przechodząc obok siebie, musnęli się ramieniem o ramię, na sekundę jeszcze promienie rozświetlonych oczu spotkały się i w tem powitalnem spojrzeniu powiedzieli sobie wiele. I w tym akcie zbratania na gruncie więziennym byli sobie bardzo blizcy.

A gdy znikli sobie z przed oczu, goniły za nimi konające w mgle echa biesiadne, odbłyski świateł elektrycznych i odgłosy szampańskiej wesołości, brzęk kielichów i rubaszne śmiechy satyrów, które zdały im się urągać...

— Chi! chi! chi!... Viva il vino spumegiante!... Fortuna kołem się toczy! Chi!... chi!... Więzienie!!...

Stary Urban nie dowiedział się o tem niespodzianem spotkaniu, bo baron nie do

niego, lecz do swego dozorcy zwrócił się z szeregiem zapytań, dotyczących Lucy, poczem począł na nowo roztrząsać wspomnienia berlińskie i tęsknić za swobodą.

Tymczasem Lucy przeszła wnet po nad tem do sprawy, pochłaniającej ją zupełnie: spotkanie ze swym „allerliebsten Papachen". Świadomość, że tatuś jest w jej blizkości, że zobaczy go niebawem, krzepiła ją na duchu, rozjaśniała niedolę kaźni, pędząc prąd myśli ku świetlanej, blizkiej chwili powitania. Stokrotnie układała sobie w głowie, co i jak mu powie, odgadywała jego słowa, wystawiała sobie poczciwe ojcowskie oblicze i liczyła godziny, dzielące ją od piątku, w który o jedenastej krewni i przyjaciele mieli, za pozwoleniem władzy, otwarty przystęp do mieszkańców więzienia.

W nowoczesnych, wielkich zakładach karnych, będących ostatnim wyrazem wydoskonalonej sztuki prawidłowego dręczenia ludzi, widuje się więźniów, niby okazy drapieżnych zwierząt, przez podwójną, gęstą siatkę drucianą. W Poznaniu urządzenia są prymitywne. Na wizytacyę przeznaczono jedną izbę parterową w pobliżu kancelaryi o dwóch wysoko umieszczonych, okratowanych oknach. Ustawiono w niej, prócz stołu

i kilku krzeseł, dla najdostojniejszych gości, długi prężnik, i naddozorca, obecny przy półgodzinnej rozmowie, ustawiał przybyszów przy jednej baryerze pod ścianą, a więźniów wzdłuż drugiej baryery, opodal dobrze strzeżonych drzwi. Około pół metra dzieliło rozmawiających, tak, iż wszelkie manipulacye, jako to: wręczanie listów, pokarmów,—były niemal wyłączone.

Tylko kilka osób, przeważnie kobiet, zjawiło się w tej niegościnnej izbie. Wtulone pod ścianę oczekiwały wprowadzenia „swego” więźnia, rozmawiając nieśmiało, półgłosem lub z pewnem osłupieniem spozierając na drzwi. A gdy wreszcie stanął przed nimi szereg twarzy, zwiędłych bez powietrza i bez słońca, zawrzało, podniósł się gwar i cały obraz zmienił się w scenę z domu obłąkanych. Równocześnie wytrysł z obu stron potok słów, leżących na sercu: zwierzeń, wyrzutów, skarg, rad i banalnych zagadnień. Powstał jarmarczny, kakofoniczny zgiełk. Jedni porozumiewali się krzykliwie rzucanemi słowami, inni, wyciągając naprzód szyje, usiłowali zamienić kilka poufnych zdań. Raz zadzwonił nieśmiały śmiech, a z drugiego końca baryery odpowiedziało wstrząsające szlochanie.

Tylko na krańcu szeregu stojąca przysiadła, szeroka kobiecina wiejska nie wiele miała do powiedzenia swemu Wojtkowi, który jakby drewniany, z trochę hardą, zakłopotanie maskującą miną, wlepił w matkę niebieskie oczy. Ona zaś, poprawiając co chwila na głowie kraciatą chustę, poruszała wargami, nie wydobywając ani dźwięku. I tak matka i syn patrzyli na siebie bez słowa, długo, aż wreszcie kobieta ozwała się:

— Ciepło ci tam?

— Ciepło.

— Jeść dosyć dają?

— Dosyć.

— Ostawiłam ci w kancelaryi bułek z masłem i kawy. Że to jeszcze wyroku nie wydali, więc sędzia pozwolił.

Umilkli, nie mając sobie bodaj nic więcej do powiedzenia.

— Był Stachu w niedzielę?—spytał żywo Wojtek.

— A był.

— Kiej go z wojska wypuszczą?

— Na świętego Michała.

Wojtek byłby pragnął, aby mu matka to i owo opowiedziała o Stachu. A ona rzekła półgłosem:

— Stach powiada, żebyć mówił, iż to jeno wszystko nieumyślnie, a nic nie gadał, że on jest za bursza u pułkownika.

Wojtek zwiesił głowę i zastanowił się.

— To ja już tak powiedziałem...

— Pytali ci się to już?

— A pytali.

— I co?

— Nie wiedzieć.

Znowu zapanowała pauza.

— A czy cię aby puszczą na Świątki?... —westchnęła matka.

Oczy zaszły jej łzami, Wojtkowe źrenice także się zaszkliły i jak groch duże łzy spłynęły po jego licach. Spojrzał na spracowane matczysko z bezmierną żałością i utęsknieniem sponiewieranego dziecka...

Na to drzwi rozwarły się i wtoczył się naddozorca Urbanek. Bąknąwszy coś na ucho jednego z dozorców, stojących na uboczu i rozsiadłszy się na krześle z powagą, zapatrzył się gdzieś w górę, jakby czuł, że spoczywa na nim wzrok urzędników więziennych. Zadrżał jednak na całem ciele i odwrócił głowę, gdy drzwi zaskrzypiały w zawiasach.

Zanim jeszcze podniósł się, przylgnęła do jego piersi wysoka, jasna kobieta.

— Vater, liebster... Vater!...—rzuciła załzawionym, drżącym głosem Lucy, okrywając jego twarz pocałunkami, bez pamięci ściskając go ramionami za szyję coraz tkliwiej, coraz mocniej.

Myśli skłębiły mu się w głowie i bezwiednie, porwany prądem szumiących w piersi uczuć wyszeptał:

— Lucy!... Dziecko!... Cożeś ty sobie wyrządziła za krzywdę!...

— Ah, to takie głupstwo, Papachen — szczebiotała, chociaż fala łez drżała w jej głosie. — Taka głupia jestem, ale nic złego sobie nie myślałam... To dobry, dawny mój znajomy, hrabia... Prosił, więc... Taka jestem głupia... I za to zaraz sześć tygodni! Powiedz, czy to nie gałgaństwo?... Skoro tylko będę wolną, natychmiast wyjdę za mąż!

— Ty?!

— Ja! Nie rób takiej zdziwionej miny! Nic w tem dziwnego. Mam zresztą przeszło trzydzieści tysięcy marek, chociaż mój narzeczony o tem nie wie.

— A wie o tej twej podróży?...

— Naturalnie! W tem nie było nic złego... Hrabia mi pieniędzy nie obiecywał, ja

niczego się od niego nie spodziewałam... Chciałyśmy się u niego na wsi zabawić.

— A kto to... ów narzeczony?

— Bogaty właściciel pięknego składu rękawiczek. Od kilku lat nudził mnie, abym za niego wyszła. Wreszcie zaręczyłam się z nim, ale nie było mi spieszno.

— Stary człowiek?

— Nie, młody, przystojny, elegancki... Ale, Papachen, bez ciebie do Berlina nie wrócę, nie wrócę, Papachen... Zaraz proś o zwolnienie ze służby. Bez ciebie teraz już nie wyżyłabym wcale! Słyszysz, Papachen, zaraz proś o zwolnienie!

Stary patrzał w śliczne jej oczy i czuł tylko, że to jego córka, jego Lucy jedyna, najdroższa. Rozbrojony, bez woli, nie mógł odnaleźć ani jednego przygotowanego słowa nagany i oburzenia. Wszystko to rozbiegło się gdzieś i grała w nim najczystsza radość, ogromne szczęście. Nie wiedział gdzie jest, co się wkoło niego dzieje, świat cały był niczem, albo raczej, zamknął się w osobie odzyskanej córki.

A ona, ze łzami w oczach, trzepała przy jego twarzy:

— Mój narzeczony przyjedzie tu jutro. Pisał. Będzie zaraz u ciebie. Poczeka tu

w Poznaniu, dopóki mnie nie uwolnią... Ale, powiedz, co to za niegodziwe te baby!...

Tu poczęła skarżyć się przed ojcem na dokuczliwe towarzyszki więzienne, aż znowu, oplatając go ramionami, zawołała:

— Ale mniejsza! Pal je sęk!... Dość, że ciebie mam znowu...

Rozpłakała się na jego szyi, jak dziecko. Dozorcy i inni ludzie spozierali co chwila na tę piękną grupę i niejeden może zastanawiał się, czy tak czułe powitanie jest przewidziane w regulaminie więziennym i dozwolone. Jednakże koledze dyżurny naddozorca nie śmiał zrobić uwagi.

Tymczasem Lucy, ocierając łzy, nalegała jeszcze na ojca, aby niezwłocznie wziął dymisyę, a podbity, rozczulony starzec kiwał tylko głową.

Wszystko, co usłyszał z ust tej dziewczyny, przejmowało go zdumieniem, wszystko to spadło na niego z innego jakiegoś świata, o jakim nie miał najmniejszego wyobrażenia. A chociaż roztrącało brutalnie i burzyło jego pojęcia, godził się w sercu na wszystko, bo już teraz nie potrafiłby oderwać się od tego swego dziecka. Musiało to jednak być dobrze, kiedy Lucy tak mówiła swym miłym głosem.

— Zeit!—huknął raptem dyżurny.

Poczęto się żegnać, wysuwać z po za baryery, powoli wychodzić.

Lucy rzuciła staremu ojcu od drzwi pocałunek, niby kochankowi. A on został oszołomiony; oczy, uszy, serce pełne miał swojej Lucy, tak, że nie było w nim miejsca zgoła na nic. Błąkał się długo, jak błędny, nie wiedząc, co wypada mu wziąć w rękę, co ma robić.

Zauważył tylko kroczącego przez dziedziniec Wojtka pod strażą dozorcy. Krępy smyk posuwał się żwawo, wesoło, w jednym ręku mając dwa rządki bułek, i to z masłem, w drugiem butelkę od piwa z kawą.

Miły uśmiech oblał twarz starego Urbana. Ale od chwili gdy więzienie pochwyciło w swe szpony jego własne dziecko, znienawidził je serdecznie, przeklął.

Ujrzał je teraz w świetle i wzdrygnął się... Cele, to trumny zimne, do których sączy się przez wieko nieco mdłej jasności światowej. Żądne coraz nowych ofiar, nienasycone, jak smoki ssą krew i życie, zabijają powoli. Jak w kalejdoskopie przesuwały się przed duszą starego Urbana nieprzeliczone smutki, niedole, rozpacze i nie mógł pojąć, jak mógł istnieć w tej atmosferze,

oddychać zgniłemi wyziewami upadku i nieszczęścia... Dość tego!

Gdy wszakże odzyskał równowagę umysłu i zastanowił się, jak spędzać będzie czas zdala od dotychczasowego terenu pracy, zdjął go dreszcz żalu za temi murami, w których strawił kilka dziesiątków lat. Jakaś subtelna nić łączyła najlepszą cząstkę jego duszy z tym sarkofagiem niedoli ludzkiej, żywej, rozdartej, krwawiącej. Blade, smutne twarze skazańców wychylały się do niego o zmroku, załzawione oczy szukały go, jak opoki, mały Wojtek prosił się o coś spojrzeniem pobitego psiaka. Co oni wszyscy poczną bez niego? Co on pocznie bez nich?...

Lecz strzeliła mu do głowy myśl szczęśliwa.

Istniało we wszystkich większych centrach „Stowarzyszenie opieki nad wyzwolonymi więźniami" pod protektoratem wysoko postawionych prawników. Istniało na papierze, bogate w cyfry i statystyczne wykazy. Kto jednakże przyjrzał się akcyi stowarzyszenia zblizka, zrozumiał, że humanitarna misya, prowadzona przez chłodnych, obojętnych biurokratów, zaszytych w ciasnym egoizmie, i w dodatku prowadzona dla reklamy lub z łaski, nie wydawała żadnych pozytyw-

nych owoców, nie uchroniła ani jednego z byłych więźniów przed nowym upadkiem. Bo nie było w stowarzyszeniu osób, które umiałyby uszanować w więźniu człowieka, zbliżyć się do niego, jak do nieszczęśliwego brata, odgadnąć skrytą bolączkę, odnaleźć źródła fermentu duchowego i zarodek zła. Nie było serca...

Gdyby dostojni państwo, zajmujący się wypisywaniem iluzorycznych wzorów misyi, mieli odtrącić pomoc prostego, starego wachmistrza, ofiaruje swe usługi Armii Zbawienia i wyławiać będzie z wielkomiejskiego morza nędzy moralnej rozbitków.

A zresztą?... Zresztą będzie miał przy boku swoją Lucy!...

V.

Akord cierpienia.

Niepamięć, zapomnienie
Dajcie mi duchy ze światów mrocznych
I rozwiejcie mary mych cierpień nocnych!
Manfred (Byron).

Niedziela. Trzecia w miesiącu. W dzień ten więźniowie w skrzydle C więzienia w Poznaniu pisują listy do domu, o ile poprzednio uzyskali pozwolenie i — mają dom.

W celi, biało wytynkowanej, siadłszy przy stoliku, przymocowanym do ściany hakami, zabierał się do pisania wysoki, łysy, dobrze zbudowany mężczyzna około lat pięćdziesięciu. Czoło dumne, o myślącym zarysie,

przecięte było prostopadłą fałdą, dzielącą krzaczaste brwi, które ocieniały piwne, płonące oczy. Ciężki obłok bolesnego osłupienia spoczywał jakby zakrzepły na twarzy, strawionej więzieniem, w sklepowem oświetleniu celi szarej, niby popiołem posypanej. Zatopił palce w czarnej, siwizną przyprószonej brodzie i, zgarbiony nad ćwiartką papieru, obracał machinalnie w palcach pióro. Wreszcie z westchnieniem zmęczonego tragarza umaczał je leniwie i począł list:

„Kochany ojcze!“

Zatrzymał się, przyglądając się nierównym literom. Cierpki uśmiech wykrzywił mu usta, odrzucił pióro wzgardliwie i powstał, przyczem, mimo wiek i workowate odzienie z niebieskawego, wyblakłego płótna, uwydatniały się śmiałe linie jego postaci.

Wsparty o stolik, zakrył oczy dłonią, zwiesił głowę na piersi i zapadł się cały w czarną zadumę, a cisza cmentarna zamknęła nad nim wieko sarkofagu.

Jak objaśniała tabliczka, przytwierdzona na szafce, był to Włodzimierz Kończak, skazany „na dwa lata za ciężkie uszkodzenie cielesne”, a czego nie oznajmiała,—bibliotekarz, zasądzony za zranienie żony postrzałem rewolweru.

„Kochany ojcze, kochany...” — powtórzył raz i drugi z piołunową goryczą i myślał: Już pierwsze słowo kłamstwem. Winienem był napisać wprost: „niekochany, pogardy godny ojcze!” i cisnąć na papier coś z tych myśli, które jakby wichrem gnane, rozczochrane, rozdarte, wściekłe pędzą mi przez głowę...

Ale byłoby to zbyt wielkim wysiłkiem dla mego torturowanego umysłu. Zresztą na papierze wszystko przybiera inny wygląd, aniżeli w duszy — wszystko staje się literaturą. Słowo jest woalem duszy. A po jakie licho pisać konwencyonalne kłamstwa jak owo „ko - cha - ny ojcze?!”...

„Kochany!!”... Ja nie kocham cię, ciemny starcze, bo dałeś mi zarodek życiowy, który zawiódł mnie w morza kaźni! Pogardzam tobą, ślepcze, boś wypuścił mnie w życie bez racyonalnego poglądu na świat... Słowianin nie myśli, lecz czuje, nie żyje, lecz śni. I ty prześniłeś ośmdziesiąt lat, nie wiedząc co życie, i tak mnie wychowałeś, że niby ślepe szczenię przewidziałem dopiero w więzieniu, gdy już za późno...

Kiedyś, jako chłopiec, przyniosłem nieszczególne świadectwo. W łacinie miałem zły numer. Za to obiłeś mnie. Bo jakże

ważną rzeczą był numer w łacinie!?... A jeszcze ważniejszą, abym miał zasady. Wpajałeś mi tedy w młodą duszę zasady, budziłeś wrażliwość na rzeczy szlachetne, kazałeś wierzyć w dobroć ludzi, w miłość ojczyzny, w czystość pobudek, w poświęcenie dla sprawy... Z wiarą marzyciela komedyę światową sam brałeś na seryo i nie otworzyłeś mi oczu, że na dnie wszystkiego tkwi pieniądz... Nie uczyłeś mnie kochać złota, chociaż codzień miałem przed oczyma przykład kolegi Józefa, co powiększał kieszonkowe, handlując znaczkami pocztowymi. Nie biłeś mnie, gdy po nocach czytywałem poezye i uciekałem od rzeczywistości w świat marzeń. Nie wszczepiałeś we mnie wytycznej zasady: „rób pieniądze, jeśli możesz— uczciwie, ale rób pieniądze".

Dziś załamujesz ręce nad naszą ruiną! Wobec nędzy, która zaziera ci w oczy sarkastycznym chichotem, daję ci kij i torbę żebraka, wyganiając cię na cztery wiatry — płaczesz, lamentujesz, obwiniasz mnie i ją, potępiasz. A tyś sam wypędził mnie do więzienia. Za twoją niedbałość ojcowską, za słowiańską głupotę pokutuję...

Nieraz miałem sposobność przyjścia do majątku. Niegdyś szajka zgrabnych ludzi

w Berlinie niemal błagała mnie, abym przyłączył się do nich, bo potrzebowali człowieka, który reprezentowałby ich „firmę” przyzwoicie. Byłbym wówczas zdobył kapitalik, który w rękach obrotnego a nieskrupulatnego człowieka byłby zawiązkiem fortuny. Ale nie posiadałem praktycznego instynktu życiowego. Pozostałem w biedzie z moją uczciwością, która teraz zawiodła mnie do więzienia, podczas, gdy ich przezorna i mądra nieuczciwość zapewniła im wolność w całem tego słowa znaczeniu, która jest udziałem jedynie bogatych.

Było mi wtenczas tajemnicą, że bieda hańbi, poniża i upokarza stokroć więcej od wszelakich nieuczciwości, które nie spotkały się z kodeksem karnym, a które oprawiano w złoto. Nie wiedziałem, że ubogiemu człowiekowi wprost nie wolno być za uczciwym, że musi codziennie zapierać się samego siebie, deptać po swych przekonaniach i ideałach, jeśli je posiada. Musi kłamać i kłaniać się, ból śmiechem maskować, bo ludzie tylko tym dają pieniądze, którzy się śmieją...

Pamiętasz, ojcze, pannę Bolesławę. Tę niesmaczną, zaspałą blondynę, która ciągnęła mnie do ołtarza i zapraszała do swego worka złota? A tyś nie zatłukł mnie kijem jak

ostatniego osła, za to, że ślepy na jej majątek „nie kochałem jej”. Natomiast głowę zadarłeś wysoko, gdy po kilku latach pracy— której najgorszą część byłby mi oszczędził pieniądz — przywiozłem do domu synowę, której krasę i wdzięk podziwiało całe miasto. Chełpiłeś się, zamiast ostrzedz mnie i pouczyć, że piękne rzeczy na świecie są tylko dla bogatych ludzi. Pięknej willi, pięknej kobiety, pięknego mebla nie dostaje się na własność za gładkie słówko, za miłość lub takie rzeczy. Trzeba płacić.

Dziś kamieniem rzucasz na Manię za to, że „zdradziła męża”, że „zhańbiła dom”, „skalała uczciwe nazwisko”, „pokrzywdziła dziecko i męża”. Takie frazesy macie na ustach, takimi pojęciami zaćmiewacie zdrowy rozsądek, zatruwacie młode umysły... Nic dziwnego przeto, że uważałem Manię za moją rzecz, bardzo ukochaną, ale rzecz, której ja pod każdym względem nadaję kierunek i cechę. A gdy w naturalnym swym rozwoju wyrosła przy mym boku nieznacznie na niezależnego człowieka i rozporządzała sobą bez najwyższej sankcyi, chciałem ją zabić w pijanym szale...

Cierpienie dopiero otworzyło mi oczy na świat i na człowieka. Wieńcem cierniowym

oplotło mi serce, wycisnęło strumień krwi serdecznej i dziś dopiero rozumiem, jak ciężko zawiniłem. A zawiniłem dlatego, że ty, ojcze, i ogół wpoiliście we mnie „świętą" zasadę wierności małżeńskiej, obowiązującej kobietę. Swemi pojęciami tak spaczyliście mi serce, że miłość moja, wystawiona na próbę, stała się przejawem drapieżności egoizmu.

Społeczność wychowująca ludzi w pewnych pojęciach, nie ma prawa pociągnięcia ich do odpowiedzialności za postępki logiczne z tychże nauk wynikające. Uznając przywileje egoizmu męskiego, które przeszły na mnie po tylu a tylu pokoleniach męskich, ogół nie powinien stawiać mnie przed kratki, gdy w imię tego egoizmu zabijam zakontraktowaną na całe życie niewolnicę moją. Jeśli zaś, karząc mnie, przywileju tego nie uznaje, dlaczego nie ogłosi człowieczeństwa i równouprawnienia kobiety? Opinia publiczna w pierwszym rzędzie wini Manię, a sąd, będący ogółu mandataryuszem, karze mnie i tak wikłamy się w sprzecznościach, które dowodzą, że spróchniałe są podstawy nowoczesnej społeczności...

Nie ogół, lecz Mania karać mnie powin-

na. Przeciwko niej zawiniłem i przeciwko sobie...

Czemu się to tak stało?... Czy Wacław przystojniejszy? Bynajmniej. Chociaż starszy od niego, śmiało mogę mierzyć się z nim. Czy Mania jest z kobiet, które przez naturę są przeznaczone dla wszystkich? Czy istniało między nimi nieprzeparte pokrewieństwo duchowe? Czy temperamenty ich oddziaływały na siebie z tak potężną siłą? Nie! Poprostu posiadałem największą wadę, jaką w naszych czasach mieć można: nie miałem pieniędzy. W sferze jej myśli istniałem w ścisłym związku z nieoddzielną, nieubłaganą kwestyą grosza, która, jak robaczek w drzewo, wpiła się w jej serce. Cały mój srom miał swój początek w głównem źródle złego na naszej nieszczęsnej planecie: w braku pieniędzy... Przeklęta proza życia działa zabójczo na najsilniejsze, najpiękniejsze uczucia. I rajskie kwiaty więdną w trującym jej oddechu.

Tymczasem Wacław ukazał się w aureoli złota. Podczas gdy ja, chudopachołek musiałem wieczorami coś niecoś zarabiać piórem dodatkowo, gonić za groszem, o świecie, jego celach, mało co wiedząc, on, europejczyk, kształcił się, wzbogacał duchowo,

żył pełnem, piękniejszem życiem. Jakby z innego świata zstąpił na nasz padół, by wyrwać wrażliwy umysł Mani z nikczemnej prozy bytu, owinąć ją egzotyczną atmosferą, wyzłocić dni jej iluzyami, jednem słowem stworzyć dla niej tło, na którem sama sobie musiała wydać się doskonalszą. W tem oświetleniu trzydziestoletnia kobieta w pełni swych sił uświadomiła sobie, że posiada swe własne życie, niezależne od męża, że spoczywa przed nią pewna suma dóbr ziemskich, z których ma takie samo prawo czerpać, jak każdy inny. I tak w pewien wieczór straszny, wpadł mi w ręce list... i stała się rzecz okropna...

Było to, jakbym pod wpływem hypnozy stał się ślepem narzędziem innej woli, jakby ktoś, posługując się moją ręką, chwycił rewolwer i strzelił...

Gdy otrzeźwiałem, zrozumiałem, że stało się coś, czego nie chciałem... Wogóle człowiek prawie wyłącznie robi nie to, co istotnie chce, lecz co mu każe chcieć środowisko, które wyszkoliło w nim jakiegoś manekina, uwijającego się wśród ludzi. Nie ja strzeliłem, ale ów manekin, ulepiony ze światowych wpływów. Moje ja spoczywało bezsilne pod ogromnym naciskiem narzuco-

nych mi z zewnątrz przepisów, zasad i wierzeń, i powstało dopiero teraz. Jest wielkiem dziełem cierpienia, że wyzwala nasze „ja“ z okowów i stawia je wysoko ponad światem.

Niech Mania mi przebaczy! Przez pamięć tych lat, które prześniliśmy razem w purpurowych blaskach miłości. Przez pamięć na moją miłość, która nie cofnęła się przed zbrodnią... Niech mi przebaczy, że idealizowałem ją, przemalowywałem portret jej farbami, jakie podsuwały ideały czyli egoizm męski. Nie szanując w niej człowieka, ogradzałem jej życie opłatkami samolubnego filistra. Oczekiwałem jakichś cnót, jakby piękność jej nie była dość wielką cnotą—cnót od niej, tej gwiazdy, która darzyła mnie szczęściem przez to samo, że istniała przy mym boku, świeciła,—olśniewała...

Dziś, gdy ukazuje mi się przed stęsknionemi oczyma, leżąca z obandażowaną głową, sto ran zadaję sobie za jej ranę, sto razy rozdzieram krwawiącą ranę serca, a za jedno dobre jej oczu kochanych spojrzenie, zaprzedałbym duszę, gdyby piekło wyciągało rękę po jedną nikczemną ludzką duszę, mając w swej władzy duszę ludzkości. Korzę się przed nią, przed świętością moją jak nie-

godny biedak, którego obsypywała pieszczotami — jak szalony zbrodzień, który targnął się na bóstwo. Padam w proch przed nią w żalu i w skrusze najgłębszej, najszczerszej, błagam przebaczenia, całuję jej stopy, ja niewolnik, ja pies...

Niech mi Mania przebaczy, bo cierpiałem wiele, i nic prócz cierpienia nie pozostało mi na tym świecie.

Lecz czyż wy wiecie, co to cierpienie? Ja poznałem się z niem dobrze. Stargało mi ono duszę na strzępy tak, że każdy nerw mój wydaje mi się osobnym światem boleści.

Nie sądź, ojcze, że cierpienie, to utrata wygody, jedzenia, picia, towarzystwa, swobody, że to strach przed wieczystymi miesiącami lodowatej samotności, że to tęsknota za jej hebanowym włosem, łabędzią piersią i ustami malinowemi, że cierpienie to łzy, jęki i zawodzenia... Wszystko to—tylko wierzchnią cząstką mojej niedoli.

W duszy mej chorej, obolałej i przebolałej nawskroś, każda myśl—rozumiesz ojcze?! — każda myśl kole mnie cierniem. Wspomnienia przeklęte przychodzą pastwić się nademną, jak hyeny nad trupem w rozkładzie. Dla ludzi wolnych „wszystko płynie”,

umysł ich bieży szlakiem dróg ludzkich, dla więźnia zaś jedynie czas przesuwa się naprzód, albo raczej wlecze się najleniwszym, żółwim krokiem, a wszystko inne martwieje, gnije, jak liście opadłe w kałuży.

Jest obyczaj więzienny, że człowieka, czekającego w korytarzu, stawiają twarzą zwróconego do ściany. Taką ścianę umysł mój ma przed sobą i wali w nią i wpada wstecz na tortury wspomnień i wije się w cierpieniach, zamknięty w obrębie tego, co było. Oglądam obrazy dawne, w powiększającem zwierciadle, odczuwam je spotęgowaną milionkrotnie wrażliwością, a wszystko, byle błahostka odgrzebana z piasków przeszłości i rozdęta do potwornych rozmiarów, zostawia gorycz w mem sercu.

Boli mnie piękność śnień i piękność Mani, nikczemność życia i nikczemność zwierzęcia ludzkiego, boli mnie uśmiech dziecka, ruń zielona, i kir nocy, i łza nędzarza. Wszystko, co w mem życiu było bolesnem, odzywa się w mej piersi głosem puszczyka. Wszystko, co było rozkosznem, rozlewa się w duszy melancholią, żalem za tem, co umarło. Każda struna serca wydaje ton minorowy, bo dźwięk jej odbija się o dno rozpęknięte pod obuchem nieszczęścia. I tak

przetapiam życie moje w mózgu na ołów, który kropla po kropli spada z sykiem na duszę, przepala ją i przeżera.

Ot tam!... Biegnę do szkoły. Śnieg prószy. Tu i owdzie zaspy, a wśród nich chmara żaków małych rzuca kulami, tarza się w puchach, rozsiewa je na wsze strony i ginie po za siatką białego próchna — za cudnym deszczem gwiazd srebrnych... Licho wie, jakim rzutem tkanek mózgowych zrodził się we mnie ten obrazek, skąd się wziął, czemu zgasł w topieli rzeczy wczorajszych i dokąd poszedł. Ale coś we mnie załkało... Bo gdzież oni zapodzieli się, Stach, Józef, Kazio?... Czemu głosy ich zamilkły, czemu śnieg rozwiał się, roztopił i wszystko zapadło w grób przeszłości? Czemu wtedy śnieg prószył, czemu ciepło krwi młodej okrążało nasze głowy? A czemu niema z tego obrazu ni śladu? Czemu to było? Czemu?...

O to pytanie łeb sobie można rozwalić. A czemu ja przyszedłem na świat?...

Nic nie wiem, ale jak mnie to wszystko boli!... Cierpienie istnienia przychodzi jak zimne mrowie i jak wąż wślizga się w zarośla duszy.

Ale obraz przesunął się ze wstęgą refle-

ksyi w jakiejś maleńkiej cząsteczce czasu. Coraz to inne rzeczy snują się przedemną z szybkością kalejdoskopu.

Ot! zdanie wyrwane z rozmowy dawnej spada nagle na młyn mózgowy, potem ukazuje się twarz człowieka, który kiedyś przed laty przemknął się w tłumie obok mnie, potem obrazek uliczki zapomnianego miasteczka wynurza się z mgły i pierzcha. Idą i idą na kołowrotku chorej duszy pasma rzeczy, któremi pamięć się obciążyła.

Wtem dreszcz zgrozy mrozi mnie do szpiku kości, bo w mych oczach cyklista spada pod koła ładownego wozu i kadłub bez głowy tarza się w kałuży krwi burej... A potem uśmiech fałszywy, fałszywego przyjaciela, odfotografowany kiedyś, łyska przedemną i jak ręka oślizgła, zimna, dotyka mej duszy. I tak wre, szumi malstroem jakiś we mnie i raz wraz bryzga mi w oczy pianą...

W dzień strażują nademną: chłód, głód, pustka i cierpienie. Na przyjęcie towarzyszów zamiatam i czyszczę moją celę. W nocy, gdy cisza sarkofagu ogarnie mury—i wtedy jeszcze upiór cierpienia nieraz kładzie trupią dłoń na głowie skazańca.

O te, czarne noce więzienne!...

Usypiam. Gaśnie świadomość bytu, lecz

nie tu kres cierpienia. Umysł wilczo głodny pokarmu, ten umysł biedny, chory z zupełnego braku wrażeń, poczyna teraz drwić sobie z zabójczej jednostajności i martwoty więzienia i nagradza to sobie w szalonych orgiach. Napadają mnie sny. Z nieporównaną plastyką stają przedemną najprzeróżniejsze rzeczy, toczą się najprzeróżniejsze rozmowy, a na spodzie tych wizyi — nie! tej rzeczywistości, wije się wplątany głęboko leitmotiv symfonii życiowej: akord cierpienia. I po snach takich wstaję z twardego tapczanu, więcej zmęczony, niż byłem z wieczora.

Albo gorzej... Budzę się przez pół. Budzi mnie dźwięk jakiegoś bolesnego gongu, który odzywa się w głębinach mego organizmu i rozpływa się po nim. Świadomość mego sromu, jak nietoperz, szybuje wokoło skołatanej głowy, jak sęp—wściekłe szpony wszczepia w trzewia duszy, wywraca je na nice, rozkrwawia i—chichoce.

Otwiera się przedemną widok na bezmiary cierpienia. A potem padam w wir halucynacyi. Umysł mój skazany li tylko na siebie, sam się zamęcza i w takie noce opanowuje mnie wścieklizna twórcza, hypertrofia wyobraźni i nawał obrazów, scen i ludzi

toczy mnie, jak horda stonogów okrutnych, ssie ze mnie wszelką moc ducha.

Wtedy nieraz złośliwa fala przynosi mi w migawkowych drgawkach żywe przypomnienia pieszczot Mani.

Czuję obnażone jej ramiona rozmodlonym giestem oplatające mi szyję, padają na mnie iskry niby z ciepła jej zrodzone i sieją miriady weselnych blasków. Widzę jej oczy, w których płoną ogniki pożądania. Do mnie lecą te gwiazdy pragnień gorących, do mnie tulą się rozfalowane piersi, do mnie rozchyla się kielich ust zadyszanych, a szmer szeptów rajskich spada rozkoszną kaskadą. Lecz dźwięk bolesny wyłania się z łoża rozkoszy. Wściekła tęsknica wyciąga każdy nerw po nerwie rozpalonemi cęgami.

Szał bezsilnej rozpaczy gasi weselne pochodnie. Jak zatracony potępieniec rzucam się na te przeklęte mury, drapię je i padam z jękiem. A ze ścian więziennych wyłażą szczury zbrodniczych myśli, pełzają mi po piersi, gryzą mnie. Mordy, zabójstwa, samobójstwa, okropne sceny zrodzone z bólu i klątw więźniów, co w tej celi ślęczeli, podnoszą się i trupim fetorem zanieczyszczają tę moją trumną. Mgliste strachy wstrząsają mną, strachy bez nazwy, bez kształtu,

bez dźwięku i wtedy otwiera się przedemną widok na bezmiary obłędu...

I znowu świadomość mego sromu wlatuje ze świstem, wyciem, chichotem rozbisurmanionych w czartoskim karnawale wiedźm i upiorów, które wyprawiają swe korowody. Zewsząd leci ich śmiech pijany: głupi! głupi! ideały!... O straszne noce bezdennej tęskno-ty i rozpaczy! O noce mąk piekielnych!...

Gdy brzask chytry, złodziejski wślizgnie się do mej trumny i sine zgniłe tony zawisną nademną, staję w obliczu nowego dnia bez wolności i bez nadziei. A pustka olbrzymiemi źrenicami, szklistemi, głupiemi wpatruje się we mnie jak w ofiarę, mrozi mi życie w żyłach, przygważdża mnie do ziemi i chlipie moją krew. I wówczas mądry jak braman znajduję w sobie tylko jedno życzenie: nie być...

Na początku było cierpienie i niema przed niem ucieczki. Wszystko rozwiało się, rozkruszyło, rozpadło i pozostało mi jedynie tylko ziarno cierpienia. Chwilami, gdy zefir kojący z krainy wielkiego milczenia powieje po zgliszczach mej duszy, klękam przed ołtarzem cierpienia i poczynam je kochać...

Prześwięte cierpienie!...

Koniec...

Ruina i jeszcze raz ruina. Gasną mi światła waszych latarń, milkną echa głosów ludzkich, odpływam od was biliony mil... Więc nie budź mnie, ojcze! Nie chcę o was nic wiedzieć.

Mania zamieszka na wsi przy matce czyli przy boku jego... Mój Jaś?... Mój chłopiec jedyny! Biedny syn zbrodniarza! Pewnie przyjdzie pacholęciu gęsi pasać lub pójść z tobą, stary marzycielu, na kraj świata... Cha! cha!...

Tak, to mści się... Teraz swe ośmdziesiąt lat podźwigasz o kiju żebraczym! Gdy wicher zaświszcze i rozwieje twe włosy siwe, gdy deszcz smagać pocznie twe oczy zakrwawione, struny serca twego odpowiedzą na wycie wiatrów i wspomnisz o synu, któregoś wydał ideałom górnym.

Idź, lamentuj, cierp, abyś wiedział, jak łkało serce syna twego. Wędruj przez ten kraj smutny i mów, żeś miał syna, co z ideałami, z wiarą w ludzi i z miłością bliźnich zaszedł do więzienia. Mów społeczeństwu, aby przedewszystkiem było bogatem. Aby kult złota wyniosło na drzewiec ideałów narodowych. Pod tym znakiem zwycięży. Złoto będzie tym prorokiem, który wywiedzie je z niewoli.

Przeciwko bogatym nikt ręki nie podniesie, bo złoto daje wyjątkowe przywileje.

Dobądź ostatka sił i, zamiast jak dawni gęślarze rozmarzać głowy, mów ludziom o wszechpotężnym bogu, którego ludzkość czci w koronach, w monstrancyach. Głoś światu wielkość tego, którego królestwo jest z tego świata i upominaj, by ludzie nie mieli przed nim innych bogów. Bo na niewolę skazany ten, kto nie czci nadewszystko złota...

W tym duchu nauczaj, a może chociaż w części odpokutujesz za grzech, jakiegoś dopuścił się względem syna swego, zaprzedając go bezsilnym ideałom.

A mnie nie mów nic!

Bo czy znasz zaklęcie, które wyzwoliłoby mnie z piekła wspomnień i myśli?...

. . . .

Zgrzyt klucza w zamku rozdarł ciszę celi. Więzień zbudzony z zadumy czarnej spojrzał wylęknionem okiem na dozorcę, który spytał:

— Brief fertig?

— Nie... Nie mam nic do pisania.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY:

WARUNKI PRENUMERATY

„NOWOŚCI LITERACKICH“

(24 tomy rocznie).

W Warszawie:	kwartalnie . .	1.50	Z odn. do domu.
	półrocznie . .	3.—	
	rocznie . . .	6.—	

Sześć tomów kwartalnie za 1.50, t. j. po 25 kop. tom. W sprzedaży pojedyńczej tomami, cena znacznie podwyższona.

Na prowincyi:	kwartalnie . .	1.80	Z przesyłką pocztową.
	półrocznie . .	3.60	
	rocznie . . .	7.20	
Zagranicą:	kwartalnie . .	2.15	Z przesyłką poczt. abonam. bezpośredni.
	półrocznie . .	4.30	
	rocznie . . .	8.60	
W Galicyi:	kwartalnie	Kor. 4.50	Abonament w księgarniach.
	półrocznie	. „ 9.—	
	rocznie .	. „ 18.—	
„	kwartalnie	Kor. 5.—	Z przesyłką pocztową.
	półrocznie	. „ 10.—	
	rocznie .	. „ 20.—	
w W. K. Poznańskiem:	kwartalnie	Mk. 4.—	Abonament w księgarniach.
	półrocznie	. „ 8.—	
	rocznie .	. „ 16.—	
„ „	kwartalnie	Mk. 4.50	Z przesyłką pocztową.
	półrocznie	. „ 9.—	
	rocznie .	. „ 18.—	

Gustowna oprawa płócienna kosztuje po 15 kop. od tomu. Oprawa każdych 6 tomów kwartalnie, wyniesie przeto kop. 90=Koron 2,50=Marek 2.

Redakcya i Administracya w księgarni i składzie nut STANISŁAWA SADOWSKIEGO, w Warszawie, Marszałkowska 115 tel. 113-56.

Prenumeratę przyjmują również wszystkie księgarnie polskie w kraju i zagranicą.

Wydawnictwo rozpoczęte 1 Października 1908 r.